

TRYBUNA NARODU

pod kierownictwem KAROLA HUBERTA ROSTWOROWSKIEGO

TREŚĆ: MURMAŃCZYK: Gospodarze czy politycy? — WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI: Spór o legendę Kościuszkowską. — STANISŁAW HALLER: Problem albański. — K. M. MORAWSKI: Jaskółki konsolidacyjnej wiosny. — WŁADYSŁAW FOLKIERSKI: Pomnik polskiej żywotności narodowej. — IGNACY CHRZANOWSKI: Aleksander Świętochowski. — K. H. ROSTWOROWSKI: Od p. Anatola Sterna do Zegadłowicza. — ZDZ. KR.: Przyczynki do „Apoteozy Szeli”. — K. L. KONINSKI: Mobilizacja a dusza. — Przegląd pism.

GOSPODARZE CZY POLITYCY?

Przygrywką do przyszłych wyborów do parlamentu mają być wybory do samorządu stolicy.

Takie mniej więcej zdanie wyrobiła już sobie większość społeczeństwa, choć od dekretu rozwiązującego radę miejską Warszawy ubiegło kilka zaledwie dni. Coraz częściej słyszy się zdanie, że będzie to generalna próba sił, do której staną różne odłamy społeczeństwa polskiego, przy koniecznym współudziale mniejszości i najzupełniej nieproszonym udziale komunistów.

Walka wyborcza już się rozpoczęła. Zainicjowała ją Partja Pracy, odpowiednik Klubu Pracy, więc partja, której przewodzi obecny p. vice-premier gabinetu.

Pierwszy wiec przedwyborczy zwołali politycy. Czy stało się to z przyzwyczajenia, że partje polityczne reprezentowane w parlamencie siłą rzeczy zabierają głos w wypadkach, które właściwie ich dotyczyć nie powinny? Jednak nie. Do walki wyborczej wystąpiły pierwsze nie wielkie partje, któreby o takie nałogi wolno było posądzać, ale właśnie te najdrobniejsze i te najświeższe.

Świadczy to, że przywódcy całego szeregu partyj i partyjek chcą wyzyskać wybory warszawskie dla zorientowania się przed wyborami do parlamentu, jakimi siłami faktycznie rozporządzają. Ze większość obecnych ugrupowań politycznych, po przewrocie majowym, nie wie, jakie są ich siły, to więcej jak pewne, że wiele świeżo powstałych partyjek ludzi się, że zyskały sobie potężne falangi zwolenników, to też jest pewne, lecz czy taka próba sił opłaci się, to więcej niż problematyczne.

Zapatrywanie się na przykłady innych państw, w których układ sił politycznych stolicy odpowiada układowi sił reszty kraju jest u nas najzupełniej błędne. Układ sił partyjnych sto-

licy reszty kraju nie zasugeruje. Twierdzenie to tak jest proste, że udowadnianie tego uważamy za zbyteczne.

Rodzi się więc pytanie, w imię czego przywódcy partyjni narażają miljonową ludność stolicy na walki partyjne, na rozpętanie demagogji, no i na bardzo możliwe pozbawienie jej samorządu w wypadku, gdy nowo wybrana rada miejska okaże się niezdolną do rządzenia miastem i będzie musiała być rozwiązana, rządy zaś powierzone mianowanemu komisarzowi? Czy dlatego, żeby p. X. czy p. Y. przekonali się, że partja ich liczy stu czy tysiąc zwolenników? Czy może jeszcze dlatego, żeby rozstrzelić głosy i wprowadzić do rady większość żydowsko komunistyczną? To trochę za droga zabawka.

Zbyt wcześnie byłoby sądzić, jaką taktykę obiorą przodujące partje polityczne. Obawiamy się jednak, że idąc utartymi drogami, zawrą bloki wyborcze, więcej lub mniej udatne, gdzie znowu o wyborze kandydata rozstrzygać będzie tak zwany klucz partyjny, a nie faktyczne osobiste kwalifikacje.

Bierność społeczeństwa jest wielka, a wynik wyborów może dać rezultaty najmniej oczekiwane. Przeciętny udział głosujących w wyborach do samorządów przedstawia się obecnie zastraszająco. Urny wyborczej unikają te żywioły, które dawniej chętnie wykonywały swój obowiązek obywatelski, masowo zaś biorą udział w wyborach żywioły przedtem nie reprezentowane. Trzeba nowych haseł i nowych metod, aby przyprowadzić do urny wyborczej tych, którzy do niej się zrazili.

Większość obywateli indywidualnie zdaje sobie sprawę, że w samorządach winni zasiadać gospodarze a nie politycy. Czy jednak ci obywatele, gdy przyjdzie do kolektywnego zgru-

powania się, jak tego wymaga ordynacja wyborcza, będą umieli ten postulat wysunąć na pierwszy plan, to pokaże dopiero niedaleka wprawdzie przyszłość.

Wybory warszawskie nie powinny i nie śmiały być próbą sił partyjnych, a odbywać się winny pod hasłem dania stolicy jaknajlepszych gospodarzy, i to gospodarzy w wielkim stylu, bo takich stolicy dotąd brakowało, gospodarzy, którzyby pamiętali, że stolica może być przykładem dla reszty kraju wtedy, gdy jest wzorowo zagospodarowana, którzyby pamiętali, że na nich ciąży większy obowiązek, niż na ojcach miasta każdego innego grodu prowincjonalnego, bo stolica musi być chlubą Państwa.

Wybory warszawskie, jeżeli mają być przygrywką do przyszłych wyborów do parlamentu, niech zapoczątkują nowy okres, którego hasłem będzie: właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Właściwymi ludźmi na właściwych im fotelach parlamentarnych to politycy szeregowani w partjach, które same we własnym, dobrze zrozumiałym interesie dbać winny, by między nimi znaleźli się specjaliści od wszystkich dziedzin życia społecznego, zaś właściwymi ludźmi na stanowiskach ojców miasta to dobrzy gospodarze i jeszcze raz gospodarze.

A może wybory warszawskie zapoczątkują nowy okres, który stworzy prawo zwyczajowe, że mandat do samorządu może być łączony z mandatem do parlamentu tylko w naprawę wyjątkowych wypadkach, bo mandat do samorządu to jedynie szczebel nieodzowny do uzyskania mandatu parlamentarnego, szczebel dający „świadectwo dojrzałości“.

Aby więc przy układaniu list wyborczych do rady miejskiej warszawskiej kwalifikacja: poseł lub senator, prezes stronnictwa lub działacz partyjny, dyplomata lub mówca, nie wystarczała, aby pod rozważenie brano tylko te walory, które potrzebne będą na radzie miejskiej. Z naszego stanowiska mamy jedno poważne zastrzeżenie. Społeczeństwo musi wymagać od kandydatów, by oprócz kwalifikacji fachowych posiadali również wysokie kwalifikacje moralne.

Najlepsi fachowcy, zarażeni jadem masonsko-lewicowym dobrymi gospodarzami stolicy nigdy nie będą. Dobry gospodarz odnosić się winien z pietyzmem do swej pracy.

Wybory 22 maja niech stworzą podwalinę pod Wielką Warszawę, wtedy to będzie nie próba sił partyj i partyjek, ale próba siły i żywotności całego narodu.

Murmańczyk.

Spór o legendę kościuszkowską*)

Zanim historja mozolnie i metodycznie wzniesie ponad przeszłością budowę swych naukowych wniosków, często wyrasta ponad sprawami ludzkiemi kwiat legendy. Z postępem nowoczesnego krytycyzmu polot legend maleje, ale na zupełny ich zanik wcale się nie zanosi. W wiekach średnich zdarzało się, że legendy wędrowały z kraju do kraju: jakaś baśń normandzka, niesiona wiatrem z północy, zawadzała o szczyty Alp i spadała na doliny szwajcarskie, jako legenda o Wilhelmie Tellu. W czasach nowszych legendy rodzą się z większym trudem: na wielkie czyny patrzą tysiące świadków, kontrolować je można według dziesiątków źródeł: to też pod każdą legendą nowożytną kryje się z reguły jakaś prawda.

Niezwykły człowiek lub wypadek uderza wyobraźnię narodu, rzesze spragnione legendy rozpalają z iskry wielki płomień, podają go dalszym rzeszom, i naród zaczyna wierzyć w dokonane cuda bez względu na to, co o nich mówi trzeźwa krytyczna historja.

Wszystko tu jest w porządku, póki legenda sama nie próbuje walczyć z prawdą dziejową. Niekroć historyk, powołany do badania prozaicznej prawdy, daje się zasugerjonować legendzie i wpada w tak zwaną furję biograficzną, t. j. gloryfikuje swego bohatera, wywołuje prędzej czy później u innego historyka reakcję: na bałwochwałcę rzuca się obrazobórca. Jeszcze gorzej, gdy bohater powstającej dopiero legendy sam sobie robi sztuczną reklamę i zabrania pisać o sobie prawdę: manja wielkości prowokuje wówczas pomniejszych ołbrzymów i kwiat legendy, jak pączek rozdlubany palcami głupiotkich dzieci pada ofiarą przedczesnego rozkładu.

Tadeusz Kościuszko miał wszelkie dane ku temu, aby zdobyć i zachować na wieki legendę naturalną, niepodrabianą i w pewnych granicach nietykalną. — Tymczasem najzasłużeńszy z jego biografów, Korzon, porwany uczuciem nietylko próbował go idealizować, ale protestował przeciwko gloryfikacji innych społecznych patriotów, jak Dąbrowskiego i ks. Józefa, aż doszedł do potępienia wodzów legionów za przywłaszczenie władzy kosztem Kościuszki.

Z zastrzeżeniami przeciw przesadzie Korzona wystąpili Smoleński, Askenazy i ostatnio prof. Adam Skalkowski. Ten ostatni, badacz nadzwyczaj sumienny i prawdomówny, tak śmiało przszacował wszystkie wartości związane z rolą historyczną Naczelnika, że nietylko odmówił mu niektórych cnót osobistych i zakwestjonował zdolności militarne, ale potępił sam poryw Insurekcji i przy tej sposobności zganił konstytucję 3 Maja, jako czyn jałowy, lekkomyślny, który nas nie odrodził, ale owszem, zgubił.

Gdyby krytyka naukowa wykazała, że Kościuszcze inny polityk podpowiedział uniwersał polaniecki, albo inny general opracował plan obrony Warszawy, to jego sława historyczna dużoby na tem ucierpiała, ale legenda by nie zamarła. Dopiero gdyby udało się wykazać, że Naczelnik był marjonetką w rękach innych ludzi lub wyzyskiwaczem cudzej pracy duchowej, wówczas legenda zginęłaby całkowicie pod ogniem historji.

*) Wobec pojawienia się plotek, że jakoby odczyt mój, ogłoszony przez radio 4 kwietnia, zawierał błędy historyczne, a nawet ustępy o tendencji przeciwpaństwowej, zmuszony jestem ogłosić o w dosłownem brzmieniu.

Trzeba bowiem rozróżnić dwojaki rodzaj i zakres legendy. Jedna nieuprawniona oczyszcza i rozgrzesza postać historyczną z wszelkich ułomności, przyznaje mu niebawymale zalety, słowem robi z człowieka anioła, lub conajmniej świętego.

Druga, unikając kłótni ze świadectwami źródeł pasuje pewną jednostkę na króla ducha, przypisując jej wpływ magiczny na miliony i robiąc z niej główną, reprezentacyjną postać epoki. Jeżeli taką legendę wytworzyli i uświęcili sami społeczeństwa, to wależyć z nią — zapóźno.

Otóż Kościuszko, choćby mu wykazano tuzin błędów, a drugi tuzin słabostek, ma prawo do takiej legendy drugiego rodzaju. Jakkolwiek w jego powstaniu wielki udział brali Kollataj, Ignacy Połocki, Zajączek, Dąbrowski, Prozor, Jasiński, Kapostas, jednak zostanie ono po wszystkie czasy Kościuszkowskiem, a nie Kollatajowskiem, ani Zajączkowskiem.

1) Albowiem, po pierwsze, Kościuszko stworzył sobie i dał narodowi ów ideał polityczny, który ukształtował całe moralne jestestwo ówczesnych Polaków, ich synów, wnuków, prawnuków. Kiedy szeroki ogół wierzył jeszcze w stare bożyszcze złotej wolności, kiedy kółła postępowe powtarzały za ekonomistami francuskimi książkową formułę: *wolność, własność, bezpieczeństwo*, kiedy radykali obwoływali zapożyczoną z Francji trójcę rewolucyjną: *wolność, równość i braterstwo* — on na pieczęciach położył święte słowa: *wolność, całość i niepodległość* i słowa te, jak stygmaty wypalił w duszach wszystkich późniejszych patriotów-narodowców. Sam wychował pod technieniem republiki amerykańskiej, rozumiał wolność jako przymiot każdego obywatela, więc ją skojarzył z równością — na wieczną naukę dla wszystkich późniejszych demokratów.

2) Ideałowi swemu poświęcił Naczelnik wszystkie siły, umiejętności i niepośpolite doprawdy zdolności. Dla siebie nie żądał nic, dla ludu gotów był poświęcić cały skromny majątek, całe dobro doczesne dla narodu, najserdeczniejszą swoją krew. Naokoło wrzały pospolite zawiści i niechęci, nurzał się w nich nawet ks. Józef i Dąbrowski i Zajączek i Kollataj Kościuszko nie uznawał żadnych wrogów osobistych, czysty, wielkoduszny, wyższy nad próżność i małostkowość, rozbrajał ludzi anielską dobrocią.

Czy słyszano kiedy, aby Kościuszko kazał sobie pisać panegiryki, czernił i poniewierał swych rywali, by się buntował przeciw legalnej władzy narodowej, by poniżał naród w oczach Europy, azeby samemu wydać się tem większym, czy przelał choćby jedną kroplę krwi polskiej dla własnego wywyższenia?

Za tę szlachetność duszy, a nietylko za Raclawice, pokochał go naród serdeczniej, niż Amerykanie swego Waszyngtona, niż Czesi Zizkę, niż Francuzi Lafayette'a.

A kiedy padł wraz z całym narodem, padł pod sztandarem żelaznej konieczności dziejowej, a nie na skutek własnych błędów lub zaniedbań, Polska nietylko nie poczuła do niego żalu, ale związała z nim całą swoją wiarę, miłość i nadzieję, Kościuszkę Bóg wyzwoli — marzyli legjoniści. Pokolenia tęskniły za wodzem w białej sukmanie któryby tak, jak on potrafił uzbroić chłopów w kosy raclawickie i wyprowadzić ich na Moskali. Pokolenia szlacheckie uczyły się według wzoru Kościuszki, jak mają spłacać wiekowy dług zaciągnięty wobec siermiężnej braci. Pokolenia mieszczańskie, chłopskie uczyły się cześć w jego wychowankach, Kilińskich i Bartoszach, ten ideał rzemieślnika obywatela lub chłopca obywatela, jaki jedy-

nie zdoła urzeczywistnić wolność, całość i niepodległość. Cała praca nad unarodowieniem ludu odbywała się w XIX wieku pod wezwaniem Kościuszki. — Oto najgłębsza istota legendy Kościuszkowskiej z prawdą, usprawiedliwiona i w swoim zakresie nietykalna. Tej legendy nie obalą żadne zastrzeżenia hyperkrytyków.

Władysław Konopczyński.

Problem albański.

Mamy jeszcze dobrze w pamięci czasy przed wojną światową, kiedy się corocznie, z początkiem tajania lodów, Balkan ruszać zaczynał. Gotowało się tam, jak w zaczarowanym kotle. Macedonja i Albanja były głównymi ogniskami niepokoju. Oczekując rychłego końca Turcji, owego „chorego człowieka“, rywalizowały o spuściznę po nim nie tylko państwa bałkańskie, ale też w ich cieniu mocarstwa europejskie. Serbja i Czarnogóra wyciągały jawnie rękę po Albanję, a jeżeli Austria i Italia ich zapal zgodnie harmonizowały, to tylko dlatego, że zazdrość o tę prowincję te dwa państwa łączyła. Wreszcie zgodziły się mocarstwa na niepodległość tego kraju, i instalowały tam, po wypędzeniu Turków, niemieckiego księcia Wied na tronie. Jednak ten książę, który tylko dlatego po koronę albańską sięgnął, że mu armja niemiecka kwalifikacji na dowódcę pułku odmówiła, poszukał już po krótkim pobycie w Durazzo bezpieczniejszego miejsca pobytu na okręcie. W północnej zaś Albanji, musiały mocarstwa aż do samej wojny światowej utrzymywać załogi wojskowe w Skutari, gdyż to był jedyny sposób, aby niepodległość tego kraju wobec apetytów Czarnogórców ochronić.

Nie dziwnego, że gdy się obecnie znów na Bałkanie ruszać zaczęło, nie było to gabinetom europejskim przyjemnem. Pamiętają one dobrze, skąd wojna światowa swój początek wzięła. Wiedzą, że próba ograniczenia rozmiarów wojny nie zawsze się udaje, że więc wybuch wojny na Bałkanie może wzniesić pożar w całej Europie.

Dzisiejszy problem albański nie jest zagadnieniem ekonomicznem, ani dla Italji, ani dla Jugosławji, a jeżeli nim jest, to tylko w minimalnych rozmiarach. Jest to przede wszystkim problem polityczny, a właściwie wojskowo-polityczny. Jako teren do ekspansji włoskiej, do osiedlania nadmiaru ludności włoskiej, jest to kraj za mały. Do eksploatacji ekonomicznej także mało się nadaje. Jest to kraj ubogi i częściowo niezdrowy: wewnątrz górzysty, na wybrzeżu Adrjatyku malaryczny. Do tego była Albanja przez lata ekonomicznie niszczone: wprzód powstaniem przeciwtureckimi, potem wojnami bałkańskimi, a nareszcie wojną światową.

Prędzejby posiadała Albanja dla Italji znaczenie tranzytowe: poprzez nią prowadzi najkrótsza droga lądowa między Adrjatykiem a Bosforem. Już za czasów, gdy Rzym półwyspem bałkańskim władał, prowadziły przez Albanję (ówczesną południową Illirję) ważne drogi handlowe, łączące zachód ze wschodem: „Via Egnatia“, t. j. droga z Dyrrachium (dzisiejszego Durazzo) przez Tessalonikę do Byzantium i droga z Avlony (dzisiejszej Valony) zarówno w tym kierunku, jak też i do północnej Grecji. Te same drogi grały jeszcze ważniejszą rolę za czasów cesarstwa bizantyjskiego. Dyrrachium i Avlona były waż-

nymi portami na Adrjatyku, przez które szedł handel z Byzancjum i Tessalonikę na zachód do Italji.

Gdyby dzisiejsza Italja chciała, nawiązując do tych starych tradycyji, budować linię kolejową wzdłuż starej „Via Egnatia“, a więc z Durazzą do Salonik, lub z Valony bądź to do Salonik, bądź do nawiązania łączności z kolejami greckimi w Larysście, to musiałby nie tylko układ z Albanją coś o tem mówić, ale trzeba by też dla budowy pierwszej linii zgody Jugosławji i Grecji, a dla drugiej, zgody Grecji, przez terytorja, których to państw te linje kolejowe przechodziłyby musiały.

W układzie, zawartym w listopadzie 1926, między Italją a Albanją w Tyranie, nie ma jednak o tem mowy. Zało daje ten układ Italji bazę morską w Valonie, prawo poszukiwania nafty na terytorjum albańskiem, a wreszcie stanowi obowiązek obu państw „udzielania sobie obopólnej pomocy i serdecznej współpracy dla ochrony przeciwko każdemu zamachowi na status quo polityczny, prawny i terytorjalny Albanji“.

Jest rzeczą jasną, że w tym układzie poszukiwanie nafty jest sprawą podrzędną. Nafty można wszędzie szukać; pytanie nawet, czy jej znalezienie w Albanji we większych ilościach jest prawdopodobne. Chodzi więc o bazę morską w Valonie i o jakoby ukryty protektorat Italji nad Albanją, gdyż jest rzeczą jasną, że wobec ogromnej różnicy tych dwóch państw pod względem ich znaczenia politycznego nie można takiego traktatu inaczej nazwać, jak ukrytym protektoratem.

Włoska baza morska w Valonie ma pierwszorzędne znaczenie strategiczne. Valona będzie przede wszystkim strażnicą, panującą z jednej strony nad bramą morską między Adrjatykiem a morzem Jońskiem i morzem Śródziemnym. Z drugiej strony tej bramy strażnica już istnieje w postaci włoskiego portu wojennego: Brindisi. Sama brama morska, zwiąca się cieśniną Otranto ma około 70 km szerokości; z dwóch stron można ją jednak z łatwością zamknąć. Od chwili, gdy Italja posiadać będzie obustronne strażnice tej bramy morskiej: Brindisi i Valonę, jest Adrjatyk morzem zamkniętym, a klucze do niego będzie wyłącznie posiadać Italja. Zważywszy, że Jugosławia ma w brzoźnie tylko na Adrjatyk skierowane, więc tylko na Adrjatyku własne porty mieć może, nie można się temu państwu dziwić, że nie chce pozwolić, aby mu możliwość rozwoju własnej potęgi morskiej, potęgi niezależnej podcinało.

Za pośredni dowód, że w tem należy szukać sedna sprawy, można też uważać włoską wyprawę na Korfu przed kilkoma laty, wskutek zatargu z Grecją. Włosi byłiby wtedy prawdopodobnie na stałe na Korfu zostali, gdyby mocarstwa nie były ich zmusiły do ustąpienia z tej wyspy. Korfu mogłoby być w pewnej mierze, zamiast Valony, drugą strażnicą po wschodniej stronie cieśniny Otranto. Wyprawa na Korfu i zapewnienie sobie bazy morskiej w Valonie miały więc zasadniczo ten sam cel strategiczny.

Lecz baza morska w Valonie może też mieć inne znaczenie strategiczne, którego wyspa Korfu nie posiada. Żeby je sobie uprzytomnić, trzeba jeszcze dalej wstecz sięgnąć do ery około 200 lat przed Chrystusem. Wtedy Grecja była w pełnym rozkładzie i Rzymianie przygotowywali się do zawojowania konglomeratu ówczesnych państw bałkańskich. Dzisiejsza Albanja, a ówczesna południowa Illirja miała wtedy dwa porty na Adrjatyku, skolonizowane przez Greków. Jeden

z nich: Apollonja, to dzisiejsza Valona, drugi Epidamnós, to dzisiejsze Durazzo. Otóż Rzymianie wybrałi sobie Apollonię, jako punkt wyjścia do opanowania półwyspu bałkańskiego, a potem dalszych krajów. Przez cieśninę Otranto przewozili swe wojska do Apollonji, a stamtąd posuwali się wzdłuż rzeki Aons — dzisiejszej Vojusy — dalej. Czy dla Mussoliniego, który tak często w swych mowach do idei rzymskich powraca, nie jest mocne stanięcie jedną nogą na półwyspie bałkańskim tylko pierwszym etapem do dalszych pociągnięć?

Przyszłość to pokaże. Narazie dawałby układ włosko-albański Mussolinemu możność do polityki ekspansji na terytorjum albańskiem. Gdyż o prefekt do dalszej ekspansji poza Valonę nie będzie trudno, zwłaszcza, że Albanja jest krajem, gdzie się politykę wyłącznie pieniądzem robi. Ten fizycznie wspaniały naród, w którym się krew jakiegoś tam starego illiryskiego szczepu najczyściej przechowała, jest politycznie najzupełniej zdemoralizowany. On jest zawsze gotów brać od każdego pieniądze i zmieniać według otrzymanej ceny codzien swą politykę. Brał pieniądze przed wojną światową od Austrii, Italji i Rosji, dziś bierze też prawdopodobnie od wszystkich, którzy chcą w Albanji swę wpływy utrwalić. Albańczycy żądają dla siebie Wilsonowskiej lezy o samostanowieniu narodów, ale dlatego, aby w ten sposób pieniądze zarabiać. Jeżeli się ich chce na jednej linii politycznej utrzymać, to trzeba dobrze płacić i ciągle płacić.

Anglja udzieliła jeszcze we wrześniu 1926, na zjeździe w Livorno, antycypanda Italji swęj zgody na zawarty 2 miesiące później w Tyranie traktat z Albanją. Zastanawiać musi, co na Anglję wpłynęło, że zgodziła się na przekroczenie praw, udzielonych Italji przez mocarstwa w listopadzie 1921 odnośnie do Albanji. Wtedy uzależniono najwyraźniej wszelką ingerencję Italji w Albanji od mandatu, udzielonego przez Związek Narodów, i to dopiero po stwierdzeniu niebezpieczeństwa, zagrażającego Albanji ze strony trzeciego państwa. Dlatego Anglja, najglówniejsza protektorka Związku Narodów, obecnie sama jego prawa uszczupla?

Polityczne pociągnięcia Anglii na terenie europejskim są już od szeregu lat refleksem trudności, które jej polityka na terenie azjatyckim znajduje. Przed podpisaniem układu w Tyranie pertraktowała Italja z Grecją i Bułgarją, prawdopodobnie w celu izolowania Jugosławji w przedniu tej akcji Anglja się na te pociągnięcia chętnie pafrzyła, gdyż one otwierają możność politycznego rozdzielenia Balkanu i naciśnięcia przez Grecję i Bułgarię na Turcję, gdyby się to państwo nadal zanadto o Rosję opierało i robiło Anglii trudności w Mezopotamji. Jest to więc polityka szachowania państw posadzanych o politykę filorosyjską: Turcji i Jugosławji, polityka rozluźniania stosunków między państwami, aby potem łatwiej każdem z osobna kierować.

Może się Anglja obecnie spostrzegła, że jej polityka rozluźniania stosunków międzypaństwowych dla pokoju europejskiego niebezpieczną być może. Zdawałoby się, że to niebezpieczeństwo poznała, gdyż zaproponowała wprowadzenie Jugosławji, jako drugiego gwaranta integralności albańskiej. Italja ma wprost z Jugosławją w tej sprawie konferować. Może się kompromis znaleźć — w każdym razie trudno przypuszczać, by Italja obecnie z Valony zrezygnowała.

Jeżeli układ w Tyranie jest początkiem nowej ery dla ekspansji włoskiej, ekspansji, będącej żywio-

lową potrzebą narodu włoskiego, to pierwszą ofiarą tego układu może być przedewszystkiem Grecja. Prędzej niż Jugosławia. Czasy przypominają szczególnie koniec trzeciego wieku przed Chrystusem, gdy potęga Rzeczypospolitej rzymskiej rosła, a Grecja była w pełnym rozkwicie. Dzisiejsza Grecja, spiskami podkopana, większej siły wewnętrznej prawdopodobnie nie znajdzie. Wtedy przejdzie ekspansja włoska, jak wówczas ekspansja rzymska, poprzez nią do morza Egejskiego i do malej Azji.

Polskę obchodzi ten problem z dwóch względów: przez wzgląd na pokój europejski i przez wzgląd na możliwy nowy układ sił na naszym południu.

Nie ma wątpliwości, że polityka rozluźniania europejskich stosunków między państwowych, stosunków, zawiązanych pod egidę Związku Narodów i służących idei utrwalenia pokoju, że taka polityka szanse pokoju znacznie osłabia. Oddala narody od siebie, wywołuje nowy stan niepewności, otwiera państwom, zwyciężonym we wojnie światowej nowe widoki, odsuwa moralną demilitaryzację Europy na dalszy plan. Ta polityka rozluźniania nie może przez wzgląd na Niemcy leżeć w naszym interesie.

Jesteśmy też we wysokim stopniu w układzie sił na naszym południu zainteresowani. Bałtyk nie jest w razie wojny pewną linią dowozową; potrzebujemy dowoza od południa. Mała Ententa nam ten dowóz zapewniała. Gdyby Mała Ententa się rozluźniła, to mogłoby komplikacje w tej dziedzinie dla nas wywołać. Gdyż nie chodzi tylko o to, żeby ewentualne nowe ugrupowanie na naszym południu się do nas przyjaźnie odnosiło, ale też do Francji, gdyż Francja jest naszym głównym sojusznikiem, więc we wojnie nieprzyjaźń wobec Francji musiałaby się zamienić na nieprzyjaźń wobec Polski.

Są to powody, dla których powinniśmy dalszy rozwój stosunków na Bałkanie pilnie śledzić.

Stan. Haller.

Jaskółki konsolidacyjnej wiosny

Od p. K. M. Morawskiego otrzymujemy następujący artykuł:

W początku lutego, od jednego z moich znajomych londyńskich, otrzymałem paczkę artykułów, o których mi pisał, że są one, zdaniem jego, dobrem odzwierciedleniem tego przewrotu w pojęciach, który się na Zachodzie dokonywa od czasów zwłaszcza Locarna i zeszłorocznej marcowej sesji Ligi Narodów. Dodawał mój przyjaciel w komentarzu swojego listu, iż Polakowi trudno nadążyć za tą zachodnią *Neuorientierung*, tyle w niej kalkulatorskiego cynizmu i bezwzględności z *City* rodem.

Wśród tych wycinków był jeden zwłaszcza, nadzwyczaj dla mnie charakterystyczny, a mianowicie głos, umieszczony na łamach liberalnego tygodnika „Observer“, starego naszego znajomego jeszcze z przed wojny Henryka Wickhama Steda.

Steed, liberal z ducha i typowy 19-to-wieczny Europejczyk, a przytem, jak każdy niemal anglik, eksponent i misjonarz handlu, przemysłu i finansów swojej ojezyny, składał na wstępie tego artykułu hold, który nawet perfidja zwykła czasem składać enocie, idealizmowi politycznemu, twierdząc, że na daleką metę (*in the long run*) nie cyfry zwyciężają, lecz idee, nie fakty, lecz hasła. Ale wstęp ten był niebieskim kwiatkiem ideowości, zatkniętym na *smo-*

lingu manchesterskiego *businessmana*. W dalszym bowiem ciągu artykułu o *high idealism* zgola już nie było mowy a empiryczny *practical sense* Albionu dyktował wszelkie wywody autora.

Steed dzielił zatem duchowo świat współczesny na trzy kondygnacje: w jednej z nich zamykał i etykietował bolszewicki komunizm z jego odnogami, sięgającymi do Kantonu, Kalkully, Kairu i Konstantynopola; w drugiej — lokował równe, zdaniem jego, potępienia godny nacjonalizm, czy on przechadza się w czarnej koszuli czy stalowym hełmie czy z lilją burbońską, jako godłem. A pośrodku, jako ogólne *panaceum* na bolączki pierwszej i drugiej przypadłości, umieszczał dawny naczelny redaktor *Times'a* Ligę Narodów, jako twierdząc i przybytek wszechświatowego wielkokapitalistycznego konserwatyzmu. W zakończeniu zaś swego osobliwego artykułu publicysta z *Observera*, apelując do światowych autorytetów celem poparcia wyluszczonej koncepcji, pragnął pozyskać na jej rzecz, on antypapista, autorytet najwyższy, autorytet Namiesznika Chrystusowego.

Londyńskie Steedy znalazły u nas odzew i naśladowców. Oto „Czas“, naczelny dziś przewartościowaniu zachowawczych walorów dwa z kolei artykuły. Uczynił to w formie dyskretnej, w kształcie balonu czy balonika próbnego, datując swoje inspiracje z Warszawy, aby znowu Krakowowi nie krzyknęło: *anathema sit!* Ale dla tych melicznych, co umieją czytać między linjami „Czasu“ i *puzzle* tego rodzaju cenią sobie, jako zajęcia wysoce instruktywne, jasnym jest zupełnie, że główna kwatery naszego postępowego konserwatyzmu otrąbiła nowe hasło, że znowu „tajne brzemień łań wydało plód“.

Przypatrzmy się więc tym artykułom:

Pierwszy z nich (z dnia 2 marca b. r.), ujęty w ramy polemiki z monarchistami wileńskimi, młodszymi braćmi z pod jednego sztandaru, których dlatego traktuje się nieraz jako *enfants terribles*, zanadto olśnionych błyskotkami berla i korony, interesujący był wszakże nie stroną swoją polemiczną, ale programową. Albowiem, po lekkim przesunięciu się nad zagadnieniem ustrojowym: monarchja, czy republika, dla którego profesorowie z „Czasu“ jeszcze na gwiazdkę 1925 r. mieli wyrazną odpowiedź: republika, przechodzi mentor p. Cała do rozwijania swej nowoczesnej koncepcji socjologicznej i ekonomicznej: „Państwo... — pisze — będzie prowadzić politykę zagraniczną, jakiej domagają się jego gospodarze interesy (dzisiejszy pacyfizm, podyktowany konsyderacjami ekonomicznymi)“. A dalej: „Silna władza ujawnić się... musi przedewszystkiem w zakresie ekonomiki. Tużaj jednak działalność państwowa może być owocna tylko, o ile pomyślana jest subsydjalnie, jako pomoc w realizowaniu programu gospodarczego pewnej warstwy społecznej w danym kraju rządzącej... (Inaczej) państwo staje się państwem biurokratycznym... Jeżeli zaś wypadki ostatnich lat czegoś dowiodły, to dowiodły bezpłodności państw biurokratyczno-inteligentnych. Wegetują. Życie tam jednak nie wyryska... Niebezpieczne przesilenia konstytucyjne widzimy... w państwach, których budowa ekonomiczna jest wadliwa, w których *niema nowożytnego kapitału*, a w których faktyczną władzę sprawuje biurokracja cywilna czy wojskowa, państwowa czy partyjna. Inteligenka z pochodzenia i światopoglądu. Tak jest w Polsce, Włoszech, Hiszpanji i t. d. W państwach natomiast, gdzie jest silny, nowożytny organizm eko-

nomiczny, gdzie więc kapitał sprawuje w istocie rządy, ustroje państwowe, pomimo ich różnorodności, pomimo trudności, sprawiają wrażenie stabilności, nie grozi tam codziennie rewolucja... Chociaż ustroje Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii, Niemiec są bardzo różne, jednak wszędzie tam wielki kapitał istnieje i rządzi: rządzi silnie.. i to jest istota rzeczy; czy zaś będzie rządzić na podstawie takiej konstytucji czy innej — to jest drugorzędne. *We wszystkich kwestjach zasadniczych wola wielkiego kapitału będzie spełniona... W świetle takiej koncepcji kwestja silnej władzy sprowadza się do wciągnięcia Polski w orbitę światowej wielkokapitalistycznej gospodarki...* Autor niniejszego miał sposobność parę dni temu omawiać ten problem z wysoce utalentowanym publicystą, jakim bez wątpienia jest p. Wincenty Rzymowski. Ten kulturalny, lewicowiec (zaciekle, wydany z Włoch, wróg Mussoliniego i faszyzmu — przyp. aut. art.), ani chwili nie tail, że droga do postępu wiedzie dzisiaj przez wielki kapitał. Kończy korespondent warszawski „Czasu“ suggestywnym cytatem z przemówienia p. Mac Kenny, liberalnego kanclerza z gabinetu Lloyd George'a, który pytał tam mianowicie „dlaczego w ciągu ostatnich pięciu lat, Stany Zjednoczone z dniem każdym się wzbogacały... i dlaczego jednocześnie Anglja i cały kontynent europejski ubożeli?“¹⁾

Po miesiącu (1 kwietnia — „O program konserwatywny“) — ten nowy program się uwypuklił. Tensam „korespondent warszawski“ dał najpierw charakterystykę konserwatyzmu krakowskiego. To już nie puzzle, ale istne *prima Aprilis*: „Konserwatyzm krakowski — czytamy tam — był produktem długiego procesu historycznego, dlatego jego struktura wewnętrzna była tak skomplikowana, tak giętka, tak dziwna nawet. Produkty długich lat rozwoju mają tę właściwość, że na pierwszy rzut oka wydają się splętem sprzeczności, jeżeli nie nonsensów i dopiero przypatrzenie się im z bliska wykazuje całą ich twórczą żywotność. Czyż tak nie jest z konstytucją angielską? Ktokośkolwiek z bliska przypatrzył się konserwatyzmowi krakowskiemu, ten musi stwierdzić, że niepodobna podciągnąć ich pod jakiś szablon, jakąś doktrynę, powiedzieć n. p.: to są liberali, klerykali, masoni, paacyfiści, reakcyjniści itd... Konserwatyzm krakowski — to była przedewszystkiem pewna kultura...“

Distinguo! Bywali konserwatyści i konserwatyści. A że umarli jadą u nas prędko, więc skłonniśmy zapominać o tych najstarszych, którzy konserwatyzm polski tworzyli, którzy byli krwią z naszej krwi i kością z naszej kości, którzy się nazywali Popiel, Wielopolski, Jan Koźmian, Szujski czy Tarnowski. Otóż czytając ich tak bardzo zapomniane dzieła, ich tak bardzo przebrzmiałe wskazania — nie wiem, ale mi się zdaje, że się orjentuję dosyć łatwo, czy mam do czynienia z liberalami czy klerykałami, z masonami, czy reakcyjonistami. Chwali Popiel w „Czasie“ „reakcję, nie tę, gnębiącą współcześnie Polskę, z pod znaku Metternicha czy Bismarka, ale tę, która w imię Chrystusa jest istotnie „reakcją“, t. j. oddziaływaniem na podkopy Spisku i Rewolucji. Przeciwdziała się — i jakżeż dobitnie — w świeżo wydanych pamiętnikach hegemonji Nadkapitału: „Zważywszy, — pisze on mianowicie na schyłku lat osiemdziesiątych — że kapitały skoncentrowały się w rękach żydowskich...;

zważywszy, że obok równouprawnienia zachowali żydzi jeszcze przywilej kahalów, szkół (chederów)...; zważywszy, że w każdej sprawie występują solidarnie, którą to solidarność utrzymuje karność religijno-polityczna; zważywszy, że każdy żyd jest wykształcony moralnie przez Talmud — wypływa stąd, że ludność krajowa musi koniecznie ulec plemieniu tak mnożonemu, a tak przemysłnemu... Kraków, który niedawno obfitował w tak szanowne bankierskie firmy... nie ma dziś ani jednego bankiera katolika..., przechodzą też i kamienice w ręce Izraela... Ludzie boją się żydów, boją się politycznie..., boją się finansowo..., boją się osobiście... Jeżeli też opinja, czy to ulegając podejrzanemu dziennikarstwu, czy to zastraszona nie zdobędzie się na (wydanie wojny żydom)..., za lat kilkadziesiąt despotyzm Izraela ciężko zaważy nad tym krajem“¹⁾ Jan Koźmian, twórca poznańskiego, konserwatywnego ruchu, stwierdzał ze swojej strony w r 1849: „Świat dzisiejszy dzieli się na dwa obozy. Z jednej strony... stoją rewolucyjniści, z drugiej reakcyjniści. Nie wolno być neutralnymi, nie wolno być obojętnymi pośród dwóch ostateczności... Ormuzd i Ahriman poszli w zapasy“²⁾

Ale Płoszowscy z „Czasu“ przeciwni są wszelkiemu dogmatyzmowi: „Widzimy — pisze cytowany korespondent warsz... — wyraźną niechęć naszego społeczeństwa do dogmatycznych doktryn. Nie po to porzuciło ono doktryny nacjonalistyczne czy socjalistyczne, by uczyć się jakichś nowych, zawitych „dogmatów“ konserwatywnych“. Taksamo sądzi *leader* „Czasu“, prof. Władysław Leopold Jaworski, że „nauka dogmatyki winna ulec gruntownej reformie, jeżeli nie być usuniętą z nauki szkolnej“³⁾

„Społeczeństwo nasze — konkluduje „korespondent warszawski“ — potrzebuje..., pragnie hasel jasných, prostých, dla każdego doskonale zrozumiałých, programu dla wszystkich dostępnego. Takim programem może być, według mnie, tylko program wielkokapitalistyczny... Wierzę, że w programie wielkokapitalistycznym tkwią leki na wszystkie nasze obecne niedomagania. *Nie umiemy dzisiaj rozwinąć naszego problemu mniejszości. Wielkokapitalizm może stworzyć warunki, które także rozwiązanie umożliwią...*“

Nietylko wszakże starzy konserwatyści zaprotestowaliby z za grobu przeciwko tak skonstruowanemu programowi. Nie znajdzie on napewno uznania także u wielu młodszych, nie zarażonych pomajowem pomieszczeniem pojęć. Nie dalej, jak kilka miesięcy temu, danem nam było czytać następujące znakomite wywody jednego z młodszych teoretyków konserwatyzmu:

„Przypatrzmy się..., gdzie rozgrywają się losy świata. W Londynie — (kieruje polityka) „City“, w Ameryce — nowojorscy bankierzy, a w Paryżu — „Le Marais“. Kto są ci ludzie? To właśnie ów międzynarodowy Nadkapitał — to pan świata... A on sam pozostaje w środku — pozornie mało czynny i pozbawiony idei przewodniej, a tylko potężne wpływy swego zła i będącej na jego usługach organizacji, rzuce dyskretnie raz na tę, raz na ową szalę wagi świata, zależnie od tego, czego wymagają jego interesy... Jeżeli mi wolno użyć porównania, to odpowiedziałbym, że masonerja — to łowczy, socjalizm i bolszewizm — to psy gończe, a prawica — dojeżdżacz,

¹⁾ „Pamiętniki Pawła Popiela“, Kraków 1927 „Krakowska Spółka Wydawnicza“, str. 198 201.

²⁾ Koźmian: „Pisma“, II, str. 5.

³⁾ „Czas“ z 3 marca rb.

¹⁾ Odpowiedź na pytanie Mac Kenny daje Jean Maxe: „L'anthologie des Défaitistes“ II. 1041—2 wykazując dokonane doszczętnie wczynie wojny z żydzeniem polityki amerykańskiej.

który czasem śmignie harapem zbyt zajadłego psa; na środkowej zaś linii — Liberalizmu — stoi myśliwy — międzynarodowy Nadkapitał. Stoi na obranem przez siebie mądrze stanowisku i baczy, czy tamci wykonywują szeregółowo, a celowo obmyślany przez niego plan polowania.¹⁾

Analogiczną ddiagnozę stawia współczesnej Europie dziejopis Francji. Jakób Bainville. „Od 1918 r. — pisze — wśród wstrząśnienia naszego starego świata, po załamaniu się tylu autorytetów, finansjera anglosaska... usiłowała ocalać i przywracać wszędzie porządek kapitalistyczny, poświęcając, stosownie do kraju i obyczaju, aspiracje narodowe aspiracjom demokratycznym albo naodwrot. Działalności zaś tego wielkiego mocarstwa frudno zaprzeczyć, ponieważ odnajdujemy ją we własnych naszych sprawach, począwszy od kampanji 1924 roku przeciwko p. Poincaremu za jego okupację Rubry, aż do ekskluzywy 1926 roku przeciwko p. Leonowi Blumowi, która to ekskluzywa wyszła na korzyść p. Poincaremu, zbawcy franka. — I kiedy utworzenie się rządu prawicowego w Berlinie nie spotyka się w Londynie, ani z mrugnięciem oczu i kiedy p. Winston Churchill chwali Mussoliniego za oddanie usługi Europie, jest to zawsze łasama idea, która dochodzi do głosu“.

Niestety! jest jednak i odwrotna strona medalu: „Lenin i jego banda — konstatuje uczony badacz francuski p. Jan Maxe²⁾ — mieli istotnie zamiar wytworzyć... nadkapitalizm, gdyż — jak pisał Lenin — „cywilizacja proletariacka winna wykazać się naturalną wypadkową umiejętnością nabytych przez ludzkość pod jarzmem kapitalistycznym i pod jarzmem feudalnym“.

Zapowiedź więc realizacji programu „nadkapitalistycznego“ rekami konserwatywnymi jest objawem groźnym. Musimy ją uważać za jaskółkę, która wiesz czy nie spokojną konsolidację żywiołów w państwie umiarkowanych, ale przeciwnie — nowe wiosenne burze. My zaś w szczególności, młodszy konserwatyści z pod znaku „Pro fide, rege et lege“, niczego nie możemy dla sprawy przez nas bronionej oczekiwać sobie pomyślnego od konsolidacji pod fakiem dokonywanej oznakami. Pomiędzy konserwatyzmem, jak my go pojmujemy i jak go już od szeregu lat słowem i piórem krystalizowaliśmy, a konserwatyzmem, rozwijającym się pod egidą banków: Dyskontowego i Hipotecznego, pod auspicjami p. p. Geisenheimerów, Poznańskich, Szydłowskich i Żychlińskich — jest przepaść. Na tego rodzaju konsolidację patrzymy obojętnie, jeśli nie z żalem. Podziwiamy łatwowierność czy lekkomyślność bez zastrzeżeń u niektórych z jej promotorów. Pójdziemy dalej własną drogą, drogą wiernie i jawnie wyznawanych zasad, nie zaś kompromisów od wypadku do wypadku, drogą, która może być najeżona cierniami i kołkami odosobnień, przemilczeń i napaści, ale która na wieki wygrywa, bo na niej tylko sterczą jasne drogowskazy tradycji tych, co przetrwali i na zwycięstwo zasłużyli³⁾.

K. M. Morawski.

¹⁾ Hieronim Tarnowski w „Pro fide, rege et lege“, I. 90-1.

²⁾ I. c., str. 991.

³⁾ Ze strony poważnych przedstawicieli belwederskiego konserwatyzmu dano wyraz zdziwieniu, że aktualnych moich wywodów publicystycznych nie drukują w organie zachowawczym. W polemice wszakże ze stanowisk jakie zajmuje „Czas“, nie miałem żadnych widoków, ażeby powyższe uwagi, których ogłoszenie uważałem za bezwzględnie konieczne, umieścić którykolwiek ze sprzymierzonych z nim organów konserwatywnych.

Pomnik polskiej żywotności narodowej.

Zapobiegliwa Kasa Mianowskiego, taka zasłużona około krzewienia oświaty i budzenia ducha naukowego, dawniej w Kongresówce, obecnie w całej Polsce, wydała co dopiero szósty rocznik wydawnictwa „Nasza Polska“ poświęconego zobrazowaniu potrzeb i rozwoju naszej nauki. W roczniku tym zainteresuje was głównie artykuł M. Wojtkowskiego. „Z dziejów popierania nauki i nauczania w Wielkopolsce, na Śląsku i Pomorzu“ uzupełniony pracą Kazimierza Króla o „ofiarności na cele naukowe na obszarze Królestwa Kongresowego od r. 1800 do dni naszych“.

Z pracy Wojtkowskiego widać ponad wszelką wątpliwość, że od czasów najdawniejszych, nasza dzielnica zachodnia dawała zdumiewające przykłady ofiarności na cele narodowe. Tuż po wskrzeszeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego z r. 1400-ego, Wielkopolanie spieszą z znacznymi darami w rękopisach, potem książkach. „Od r. 1400 do 1432 Wielkopolska, Śląsk i Pomorze dostarczyły Uniwersytetowi Jagiellońskiemu 26 profesorów (15 ze Śląska)“.

Przez ciąg wieków XVI. i XVII-go kapituły gnieźnieńska i poznańska dają co trochę uderzające dowody swego zrozumienia dla celów szkolnych naukowych i bibliotecznych. Sławna Akademia Lubrańskiego powstała w r. 1519. ogniskuje koło siebie w ciągu dwu wieków dumę i ofiarną poznańską-wielkopolską. Składają się na nią przedewszystkiem majątki biskupów. W r. 1612 Nowe Miasto płaciło 28.000 złotych. W tymże roku Jan Bonażewski sufragan kujawski, zapisuje jej drugie tyle. W r. 1622 kanonik poznański, Sebastian Łącki zapisuje Akademii 23.000 złotych „przeznaczając procent od tej sumy częścią na żywność i opał dla nauczycieli, częścią na łaźnię dla ubogich uczniów.

Pomostem licznych kolegów jezuickich obficie wspieranych ofiarnością współczesną dochodzimy do Akademii Chełmińskiej założonej przez miasto Chełmno. W r. 1470 miasto oddaje nauczycielom folwark Gogolin, dwa domy, wnet potem folwark 12-włokowy Steinwegk.

Protestanci wielkopolscy rywalizują w ofiarności z katolikami. Wystarczy tu zacytować znakomitą sławną w Europie szkołę leszczyńską, założoną w Lesznie przez Rafała Leszczyńskiego (1655).

Ofiarność ta naszych ziem zachodnich specjalnym blaskiem lśni w nieszczęśliwym wieku XIX-ym. Tu wystarczy wymienić fakty i nazwiska: Biblioteka Raczyńskich ufundowana w r. 1829 przez Edwarda Raczyńskiego, Biblioteka Kórnicka gromadzona przez Tytusa i Jana Działyńskich, Rolnicza szkoła Żabikowska założona przez Augusta Cieszkowskiego. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk tyle zawdzięczające rodzinie Mielżyńskich zanim nie stanie się głównym ośrodkiem powszechnej ofiarności Wielkopolskiej.

Czasy powojenne, tutaj chociaż, nie sprowadziły obniżenia poziomu! I tu warto dosłownie zacytować koniec artykułu Wojtkowskiego: „W r. 1923 rektor Uniwersytetu Poznańskiego Heljodor Święcicki stworzył fundację „Nauka i Praca“, złożoną z majątku Laski w powiecie kępińskim i papierów wartościowych. Zadaniem tej fundacji jest popieranie badań naukowych, niesienie pomocy materialnej młodzieży studjującej oraz wdowom i sierotom po zmarłych profesorach uniwersytetów polskich. W tym samym czasie powstała fundacja hr. Bohdana Hutten Czapskiego na rzecz Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej. Fundacja

ta składa się z 22.000 morgów magdeburgskich dóbr smoguleckich w powiecie wągrowieckim. W r. 1924 generałowa Jadwiga z Działyńskich Zamoyska i Władysław Zamoyski, syn jej, zapisali dobra Kórnickie Narodowi Polskiemu. Zadaniem tej fundacji jest utrzymanie Szkoły Domowej Pracy Kobiet, udzielanie pomocy naukowej wyjątkowo zdolnym, utrzymywanie Biblioteki Kórnickiej i wreszcie założenie i utrzymanie zakładu Badania, tak na stokach gór jak i na równinach, wszystkiego co wchodzi w zakres hodowli, życia ochrony, materialnego wyzyskania wszelkiego rodzaju drzew. W r. 1925 zapisała Aniela Potulicka majątek swój wartości 6 milj. złotych Uniwersytetowi Lubelskiemu.

Dzieje ofiarności na cele naukowe w Kongresówce są podwójnie wzruszające, jeśli wspomnieć brutalny i barbarzyński *regime* dławiący tę dzielnicę w ciągu XIX-o wieku. Praca Kazimierza Króla rozpada się na paragrafy, których tytuły mówią za siebie. Na czas jeszcze Królestwa Kongresowego przypadają fundacje następujące:

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie, Towarzystwo Naukowe w Płocku; Towarzystwo Lekarskie w Warszawie założone w r. 1820 otrzymuje imponującą ilość zapisów — dopiero od roku 1864, po powstaniu styczniowym.

Istotnie ten to najciemniejszy obraz ucisku i nędzy narodowej staje się może najbardziej świetlanym w dziejach zaiste wdowej ofiarności. Warszawskie Towarzystwo Dobroczyńności. Kasa Literacka w Warszawie, Biblioteka Publiczna w Warszawie, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Kasa Mianowskiego powstająca w tym okresie, najmłodszy z nich Uniwersytet Lubelski czasu wielkiej wojny.

Analogiczny obraz dla trzeciej naszej dzielnicy b. Galicji nastąpi zapewne w najbliższym tomie „Nauki Polskiej“. Rok bieżący, jubileuszowy dla lwowskiego Ossolineum mógłby tu być zachęcającym dla historyka. Akademia Umiejętności last not last wypełniłaby w takim obrazie rozdział zapewne najważniejszy.

W obecnym bardzo ponurym okresie pustki ideowej i pewnego załamania się sił i energii narodowych, rzut oka i pamięci na te wielkie wzory lat dawnych mogą być dobrą zachętą. Tężyzna narodu jest u nas niewyczerpana i przetrzymała napór sił bardzo ciemnych. Nie zmoże jej i powojenna ciemnota materializująca czy bolszewizująca.

Ale po słowie otuchy — słowo przestrogi.

Nie zwalajmy na rząd całej troski o los nauki i oświaty. Wielkie zachodnie wzory pouczają, że rząd takiego ciężaru nie wytrzyma. Ofiarności publiczna ma tu sobie oddane całe swoje dzierżawy. I niechby nasi synowie nie wypomnieli nam kiedyś, żeśmy, my pierwsi ludzie odzyskanej niepodległości, nie podążyli śladem Polaków doby niewoli i ucisku. Niechby jaknajszybciej polskie Uniwersytety wzorem Sorbony, mogły wywiesić w swych aulach i westybulach złote tablice z nazwiskami ofiarodawców, fundatorów zbiorów, pracowni, laboratorjów, bibliotek i stypendjów.

Tu też znajduje się bardzo ważny splot zagadnień i imperatywów polskiej mocy. Mocarstwowość bywa i z ducha.

Władysław Folkierski.

Aleksander Świętochowski.

Dnia 3 kwietnia r. b. nagrodę literacką miasta Łodzi przyznano Aleksandrowi Świętochowskiemu. Niektóre pisma, wyrażając swą własną radość z tego powodu, pisały, że podzielają ją wszyscy, całe społeczeństwo. To nieprawda.

Nie brakło takich, którzy się wyrokowi Komitetu, powołanego do przyznania nagrody, dziwili: byli to ci, co nie wiedzieli, czy też zapomnieli o tem, że Świętochowski to jeden z najznakomitszych s t y l i s t ó w, jakich wydała Polska przez cztery wieki istnienia swojej literatury. A komuż przyznawać nagrodę l i t e r a c k ą, jeśli nie znakomitym stylistom?

Lecz nie brakło i takich, których wyrok Komitetu rozdrażnił, a w tym wyroku gniewało ich to nade wszystko, że nagrodę przyznano Świętochowskiemu za „całokształt działalności literackiej“, a więc nie tylko za to, co niegdyś pisał na łamach „Przeglądu Tygodniowego“, „Nowin“ i „Prawdy“, nie tylko za cykl nowel „O życie“, nie tylko za dramaty i za poemat dramatyczny „Duchy“, ale także za „Szczyry“ i za to, co pisał, już w Polsce niepodległej, na łamach „Gazety Warszawskiej“ i „Myśli Narodowej“. Upust temu rozdrażnieniu dali, pomiędzy innymi, przedstawiciele jednej z „mniejszości narodowych“, którzy nie mogą wybaczyć Świętochowskiemu, że on, który niegdyś był chorążym postępu, dzisiaj jest „miernym agitatorom doktryny nacjonalistycznej“, że jego „słowo potężne, walące w mury wstecznicstwa, jak taranem, zamieniło się w zrzęczenie“, tak dosłownie pisał jeden z publicystów „mniejszościowych“ (wstydzających się swojego właściwego nazwiska).

Nie, to nieprawda. Jak przed laty z górą czterdziestu i trzydziestu i dwudziestu i dziesięciu, tak i dzisiaj Świętochowski jest chorążym postępu i swoim potężnym słowem, jak taranem, wali w mury wstecznicstwa. Tylko że dzisiaj swoim bystrym okiem widzi inne objawy wstecznicstwa, aniżeli dawniej. On rozumie, że dzisiaj walka z narowami szlacheckimi, z przesadnym kultem romantyzmu, z kastowością, z nietolerancją, z ciemnotą duchowieństwa przestała być aktualna, że aktualną natomiast jest walka z temi „szczurami“, które chcą pożreć wiekową kulturę polską i na jej szczątkach osadzić własną anarchję duchową, własną degenerację moralną i własny egoizm narodowy. On rozumie, że dzisiaj tumanić naiwne, wychowane na tradycjach romant. społeczeństwo utopjami „ogólnoludzkimi“, hasłami pacyfizmu, braterstwa narodów, jest, jedno z dwojga, albo naiwnem wstecznicstwem, albo też świadomą a niekczemną robotą owych „szczurów“ i sprzymierzonych z nimi różnych kretów, że natomiast zarówno postęp, jak uczciwość wymaga wychowania społeczeństwa w duchu nacjonalizmu, jako — przy dzisiejszym stanie kultury — najnaturalniejszego i przez to najsiłniejszego etapu, prowadzącego ludzi w przyszłość. I rozumie jeszcze Świętochowski, że godzić się ze zbrodnią dlatego, że jest *fait accompli*, to podle wstecznicstwo, to zbrodnia: rozumie, że, jak powiedział Krasiński, „sam Wszechmoeny kłaść nie może w pierś nieczysta — wieków zorse“ i że „dobrem... tylko jest dobro... a brud jest brudem — myj go sofizmami, pierz i lań tysiąc — on zawsze cię splami“.

Rozszerzajcie „Trybunę Narodu“

I te wszystkie swoje przekonania, nawskróś postępowe, wygłasza dzisiaj Świętochowski z tą samą bezwzględnością, z tą samą odwagą cywilną, z tą samą żelazną logiką i z tym samym radykalizmem etycznym, co przed laty. Pod tym względem on, który zawsze idzie za postępem, nie zmienił się nic: jest, jak był, „posłem Prawdy“.

Ign. Chrzanowski.

Od p. Anatola Sterna do Zegadłowicza.

Raz świnka na podwórku zobaczyła osła.
Dalej w kwik: „Co za olbrzym! Ta postać wyniosła!
Te bezmiary ogona! Te uszy jak wieże!
Spieszmy, spieszmy podziwiać nadzwyczajną rze!“

A na to stary wróbel: „płnujcie koryta,
Nie nadchlewne nadzwierzę, lecz osioł i kwita,
który stać się olbrzymem tam może jedynie,
gdzie w jego osłą wielkość patrzą małe świnki“.

Tego rodzaju bajeczki cisną się pod pióro, ilekroć wpadają w rękę utwory rozmaitych gwiazd, świecących na firmamencie współczesnej polskiej poezji i dlatego nazywanych po polsku Sternami, a takie bajeczki ma się ochotę wypisywać kijem na plecach tych, którzy sternowe „pissuary“ otwierają naoścież przed polskim czytelnikiem i zapewniają go, że: „w tym smrodzie zagna rozkoszy, jakich nie da życie“.

Bo istota w „pissuar“ zamieniłby się niebawem polski Parnas, gdyby oprócz p. Anatolów Sternów — urabiających opinię artystyczną za pośrednictwem „Wiadomości Literackich“ — nie było zapadłych kątów, gdzie wszechpoteżne dzisiaj kabareciarstwo literackie nie rozbiło słowa na „słówka“ już nie Boy'a, ale jego licznych, a bez porównania sprośniejszych (bo słabszych) naśladowców.

Zgorszenie? Uchowaj Boże! Tylko obrzydzenie. Tylko jakgdyby towarzystwo biesiadników, którzy dłu-bią widełkami w zębach, ucierają nosy w serwety, plują pod stół, piją starego burgunda, jak szpagatówki, każą zaprawiać ostrzygi czosnkiem i cebulą, a czynią to wszystko z elegancją formy, czyli z podnoszeniem piętego palca w górę, bo przecież znają się na „sawuar wivrze“.

Ohyda — koszmarny — wstyd — nawet częstokroć żal, że się do tej „branży“ należy. I z pewnością nie raz i nie dwa rzuciłoby się wszystko do diabła, gdyby nagle, z jakiegoś tam Gorzenia górnego nie doleciały słowa:

przyjacielu nieznany
chce ci rozdać siebie;
te słowa pozbierane
po ziemi i niebie —

te słowa pozbierane
na łakach łęcz, zorzy —
śród trzeć, na skrajach jezior,
pośród galoborzy —

po tych górach beskidzkich
z każdej drogi, między —
kiedy kwitnie przydrożem
tajemny kwiat wiedzy —

a tedyć zwierzę bracie
— umęczony srodze —
prawdę małą, spotkaną
jak świerszcza przy drodze:

konieczny trosek przewał —
każda Bogu wiedna:
PRZEZ TYSIĄC RAN ŻYWOTA
WIECZNOŚĆ KWITNIE JEDNA —

i gdyby, po takim wstępie, jak balsam kojący, nie zaczęły krzepić ducha i nie napelnily radością „umęczonego srodze“ serca takie naprawdę „gody pasterskie“:

weszli — jutrką z zawiasów wyrwaną, zwiśniętą,
w sad weszli — a tak cicho — jak na jutrznię świętą,
w sad weszli — a w zadumie — jak na podniesienie,
weszli długim szeregiem pod kwiatów sklepienie —
drzewa strojnie kwieciste — majowe ołtarze —
przerwy na przestwór nieba — błękitne witraże —
zapach słodki i miodny — mirry i kadzidła —
czuby drzew na przyswietrze — archaniele skrzydła —
pszczoły złote i trzmielie kosmate, brzęczące —
dzwonki przed Sakramentem srebrzyście dzwoniące —
mgły wiotkie promieniami modrato przesiane —
u stopni ołtarzowych dymy kadzidlane —
stońca twarz w barw ulwę wpięta, najgorętsza —
podniesiona nad wonią Hostja Przenajświętsza.

Usiedli wokół w sadzie na murawie zielonej
i kwiatowej jak wzorzysty kobierzeć kościelny —
struny dusz tak napięte, że zda się: zadzwonią —
wyciągnął Chrystus ręce — strun tych dotknął dłonią —
i zagrał pieśń niezłomną w kwiatowym zamęcie
na najcudniejszą pieśnianym serca instrumencie.

Gdyby Zegadłowicz nie był do arecydział literatury naszej dorzucił swoich „Powsinóg Beskidzkich“ i (może z wyjątkiem balonikarza, choć i tam są olśniewające ustępy) „Wielkiej nowiny“; gdyby w „Godach Pasterskich“ nie był stanął na szczytach natchnienia w trzech ostatnich balladach a często i w trzech pierwszych; gdyby nam pozostawił tylko te dwadzieścia przytoczonych „sprawiedliwych“ wierszy, to każdy kto ma poezję w sercu, musiałby wierzyć niezachwianie że dzisiejsza kabaretowo-rynsztokowa Sodoma, i Gomora pseudoliteratury pseudonaszej nie tylko nie zostanie obrócona w perzynę, ale nawet zamieni się w „nowe Jeruzalem wstępujące z nieba“, którego słowcem będzie czystość ducha, a nie zielony balonik, rozdęty pychą i arogancją do rozmiarów kuli ziemskiej, gdzie jedni „wycharkują ze siebie duszę“, drudzy „w ślizgim pałacyku tym (w „pissuarze“) wspierają się o ścianę“ i „spartym tak powietrzem oddychają z lubością“, a trzeci ośmielają się czynić narodowego bohatera z... Szeli!

Po Boy'u przyjdzie bój z uczniami Boy'a i nie Tuwimowe „szczury“, ale „Powsinogi Beskidzkie“: „zakryją sobą wody, i z rzek świętych prądem popłyną triumfalnie ku pradawnym leżom“.

Prochów poezji polskiej nie złoży się na Wawelu razem z prochami wielkich twórców — będzie mieszkała między nami.

Dotąd Zegadłowicz wygrał na polu poezji, obecnie walczy na polu dramatu i powieści Jego „Betsabey“ jeszcze nie znam, natomiast „Godzina przed jutrznią“ rozwiata moje wątpliwości dotyczące Zega-

dlowiczowskiej prozy. Przyznaję bowiem otwarcie, że nie lubię wstępów do ballad. — Robią mi wrażenie lamigłówek i jakiejś prawie bolesnej manieri. O ile same ballady porównałbym z prostą muzyką Wagnerowskiej, o tyle wstępów porównałbym z Wagnerowskimi librettami. Tymczasem: w „Godzinie przed północy“ rozjaśnia się wszystko: wschodzi słońce prawdy. Zegadłowicz patrzy, słucha, czuje i myśli tak, jak jemu, a nie rozmaitym „stylistom“ Pan Bóg przykazał. Jest sobą, oczywiście sobą niezmiernie kulturalnym, a więc potonkiem bardzo świetnych i nie „malpowanych“, lecz „kochanych“ antenatów. Zegadłowicz ma w krwi przedewszystkiem Kochanowskiego i Mickiewicza, a jako obserwator przypomina mi Balzac'a. Tak jest, Balzac'a. Wchodzi w najdrobniejszy, pozornie nie znaczący szczegół. Oprawdza nas po kuchni, stajni, Ach! po mieszkaniu „Wuja Wacława“. Proszę posłuchać:

Pokój trzeci: salon. Stały tam zielone(!) mebelki owego typu „materiałowego“ bez drzewnych obramień: kanapka przysadzista, odparta, z nogami w dość bezczelny sposób wysuniętymi, matka czterech kubek w kubek podobnych do siebie foteli; cała rodzina suta obszyta frendzlami i zwisającymi z boków gestami kutasami; — przed tem towarzystwem, a raczej pośrodku tegoż rozpięta się stół o nogach zaplecionych bezpotrzebnie a pomysłowo. Nieco z boku już pod ścianą mizdrzył się stolik mały, bardzo w sobie niepewny, bez zasad, wzdrygający się przed jakimkolwiek dźwięaniem, choćby wiatkowego przedmiotu: nie znosił tego; poprostu drżał na sama myśl, iż mógłby stać się kiedykolwiek, choćby fikcyjnie użytecznym: — a może mu nawet myśl taka nigdy w głowie nie powstała? — Może drżał z tej watości od urodzenia swego? — Może! Tyle przecież było w nim dziurek i szpar i ażurowych esów — floresów — miejsc na przewiew aż nadto! — Trząsał się też i długiemi zębami i całym sobą ilekroć otwierano drzwi (często), lub okna (rzadko).

O nim to zurykla była pani Wilhelmina mawiać do gości:

— Sam mój mąż go zrobił iroszę ja państwa, w Nowym Tarqu, gdzie tam byli przeniesieni: mój mąż woaóle śliczne rzeczy wycinał laubzegą: szkoda, że jakoś tak zarzucił tę pracę, to bardzo miła rozrywka i pożyteczna“.

Po równie wrzuszającym opisie całego szeregu „fotografii w rameczkach onychże laubzegowych“; po pieczołowitem zajęciu się fotografią wuja Wacława: „w mundurze sierzanta austriackiego: was wspomackowany, ścieniony na końcach niezem szwido, czapka, owa śliczna tak niezrównanie charakter tego milego b. państwa symbolizująca — z „baczkiem“ figlarzem F. J. I.“; po uwypukleniu bogatej urody albumów „zdobiących okazańie stół salonowy“, zwraca nasza uwaga Zegadłowicz na główną ozdobę ściany. Baczność!

„Największa atrakcja tego przybytku, nie tyle gościnnego, ile dla gości przeznaczonego, była wisząca nad kanapą filigranowa półeczka bambusowa z podstawkami niesymetrycznie wzdłuż palików rozmieszczonemi; wisiała na fle zielonego(!) (wykrzykniki autora) sukna z wyhaftowana na niem równianką polnych kwiatów o kolorach pomylonych i zagnatwanych: były więc buraczkowe bławatki pośród seledy-

nowych maków, żółte niezapominajki obok białych kitek traw; zdala zlatywał ku tym powabom zielony trzmiel o oczach z paciorków czarnych. Było to piękne“.

I tak obchodzi Zegadłowicz pokój po pokoju; bada „szafy dwie, rozpięające się przy ścianach (sypialni), zarozumiale, wypięte, głupie i pakowne“; rzewnym wzrokiem pieści sufit, gdzie króluje „lampa t. zw. nocna, wisząca u powały, z różową umbrą, na której przy świetle widać malowym konturem odrysowane sarenki dwie i sarniaka wiodącego one w gaik brzoźowy“ — a czyniąc to wszystko daje nam drobiazgowy a jednocześnie wstrząsająco syntetyczny obraz duszy tej martwej natury: obraz zarozumiałych, wypiętych, głupich i pakownych państwa domu, pomylonych i zagnatwanych, którzy, jak ów zielony trzmiel o oczach z paciorków, przez całe życie zlatują ku „tym powabom“, na chwałę niudolnego snobizmu, a na udźwięczenie prawdziwej wartości człowieczej.

W podobny sposób kreśli Zegadłowicz „okres w ludzkim, czy kalendarzowym obliczeniu lat sześć obejmujący“ czyli sześćdziesiąt lat bytowania Mikołaja Srebrmpisanego. W ten sposób sięga po dzieciństwo swojego bohatera, ażeby świeżem okiem spojrzeć na świat zewnętrzny i przypomnieć czytelnikom to, o czem — żyjąc z życiem — zapomniała. W ten sposób „rozdaje nam siebie“: swoją wrażliwość, swoją niepospolitą obserwację, swoją mądra, z „przewału trosek“ poczęta i zrodzoną pogodę, swój humor pozbawiony żółci, swój artyzm słoneczny i wyzłacający promieniami wszystko na cokolwiek padnie, i swoje piękno, żywe piękno, więc pełne umiłowania, i radosnego, twórczego czynu.

A kończy mówiąc:

„Może wypadnie wam zapoznać się z dalszym ciągiem dni Mikołajowych“...

Napewno wypadnie, bo wypadść musi Zegadłowicz ma w sobie istotnie „Milion HP“; ma w sobie istotnie „tabun ruwaków skrzydlatych, swych poetyckich koni“, chociaż o nich, jak Tuwim, nie pisze, i chociaż, jak Tuwim nie wzywa „millionowoltowych prądów“ Bożych, ażeby go „zweglili potężnym, ostrym piorunu trzaskiem“. Zegadłowicz chce żyć i będzie żył, nawet wówczas gdy — los człowieczy (poprostu, po prostu, po bezskidzku zamknie swoje patrzące i widzące oczy.

A usterki? A błędy? — Gdzież ich niema? — Ale błędy Zegadłowicza dadza się łatwo usunąć za sprawą, powiedziałbym, reżyserskiego ołówka. Skoro n. p. sroczka panna Kasja zadowolni się jednym rozdziałem, albo skoro „ballada o dziecięcych zabawkach“ (w wielkiej nowinie) zakończy się na słowach: „poza obrob przziemny cień się w wszechświat przeniża: między gwiazdy się kładzie przeogromny znak krzyża“ to nawet wrogowie, raczej zazdrościv, nie beda mogli udowodnić, że ich małość, przyziemność i natchnieniowe kanalarstwo mogą czasem przemawiać do rzeczy.

Przyjacielu poznany! Pracuj dalej na chwałę literatury naszej, a jeśli wolno mi dać ci radę, módl się codzień mówiąc:

Nie zatracaj z niezbożnymi, Boże, duszy mojej, a z mężami krwawymi żywota mego. W których ręku są nieprawości: prawica ich pełna jest podarków“.

K. H. Rostworowski.

Przyczynki do „Apoteozy Szeli“.

„Chcą się gwałtem dostać w wieczność,
Gdzie królują niedorzeczność“.

Od dawna już nosiłem się z zamiarem umieszczenia w prasie uwag o naszej najnowszej poezji — na razie w ogólnych zarysach — potem może obszerniej. Czekalem, bo myślałem, że uczyni to lepiej odemnie ktoś bardziej powołany, może fachowy krytyk literacki. Przekonałem się jednak, że ludzie wielkiej kultury umysłowej i wielkiej wiedzy z dziwną rezerwą i zbyt daleko sięgającym poblazaniem zachowywali się dotąd wobec objawów twórczości poetyckiej, zasługującej choćby ze względu na dobro najmłodszego czytającego pokolenia, na potępienie jak najsurowsze. — Z wielkiem zatem zadośćuczynieniem przeczytałem w „Głosie Narodu“ artykuł prof. Chrzanowskiego p. t.: „Próba apoteozy Jakoba Szeli“ — do którego chciałbym dorzucić nieco z moich poglądów w odniesieniu nie tylko do p. B. Jasińskiego, aut. owej apoteozy, ale do ogółu jemu podobnych kolegów po piórze, bez względu czy ich futurystami nazywać będziemy, czy inną jeszcze dla nich wyszukamy nazwę. Zdaje mi się bowiem, że prof. Chrzanowski zanadto ogólnie wyraża się o nim, a niema powodu do oszczędzania takich *Szelów poezji*. Przedewszystkiem po przeczytaniu utworu p. t. „Słowo o Jakóbie Szeli“ (innych utworów tego pana nie znam) — ośmielę się pójść dalej, niż prof. Chrzanowski i stwierdzam, że p. Jasiński nie jest wogóle poetą (więc „małym poetą“ także nie) — że niema „małego talenciku“, ale ani *działta talentu poetyckiego*. Gdyby ktoś kilkanaście lat temu jeszcze miał odwagę napisać wiersze w tym rodzaju, jakie on tworzy, z podobnymi rymami, rytmanami i nonsensami w treści zamiast jakiegokolwiek myśli nowej i głębszej, gdyby następnie taki wiersz przesłał np. do jakiego pisma z propozycją wydrukowania, to wiersz poszedłby do kosza, a autorowi zarzuconoby zupełny brak zdolności poetyckich, poczucia stylu i wogóle piękna — a gdyby własnym nakładem drukował, zbankrutowałby wnet — chyba, żeby kupowano tylko na to, aby się bawić nie tyle dowcipem, co osobą autora. Dlaczego zatem dziś płaci się za taką tandetę i czyta się widocznie dość szeroko, skoro aż uczony krytyk i prof. uniwersytetu poczuł się zamepokojny i rzucając poważną pracę naukową na chwilę, poświęca drogi swój czas na rozprawianie się z niedorzecznym autorem? Czy ludzie się zmienili? Czy kinowo-dancingowa atmosfera czasów dzisiejszych wytworzyła nowy typ czytelnika? — Czy tę mamy rozważyć „smutną okoliczność“, że „taki poeta, jaką jest publiczność?! Ta nowa „poezja“ nasuwa pomimowolną analogię do t. zw. dramatów dla kina układanych, do tańców i melodyj najnowszych, w których się tak lubują dzisiejsi „postępowi“ ludzie, a w których niema śladu myśli i uczucia głębszego — a tylko jeden jest wielki wyuzdany chaos i dziwactwo, grające na zmysłach. Stwierdzić z żalem wypada, że społeczeństwo za mało zwalcza te rozmaite więcej radykalne lub umiarkowane fazy różnych futurizmów, czy też „izmów“, tę prawdziwie bolszewicką rewolucję w poezji, burzącą wszystko dawne, a stwarzającą na to miejsce karykatury, lub jedno wiekie nic. Nowe kierunki znajdują nawet zwolenników wśród poważniejszych nieraz ludzi, ogarniętych widocznie chwilowym szaleem (bo im to poza tem nie przeszkadza pełnić swoich obowiązków), lub porwa-

nych ogólnym prądem i duchem czasu. A przecież jeszcze raz odważę się powiedzieć, że poetom tym brakuje kardynalnej rzeczy — talentu poetyckiego. Postarajmy się to udowodnić. Talenty, a tem bardziej geniusze na kamieniu się nie rodzą, megalomanja zaś jest dosyć częstą chorobą, zwłaszcza w pewnym, zwykłym młodzieńczym, okresie życia. Czasem autokrytycyzm lub dobroczynny wpływ drugich istot przynosi wytrzeźwienie i uleczenie, czasem jednak choroba staje się chroniczną i prześiaduje biedaka takiego widocznie już upośledzonego na umyśle — długo, nieraz całe życie. A zatem piszę, bo musi być sławny za wszelką cenę! Poezja wydaje mu się najłatwiejszym polem i najkrótszą drogą do odróżnienia się od zwykłych śmiertelników. Wydaje się lakiemu, że po przeczytaniu milionów wierszy cudzych można *zrobić się* poetą, bo to przecież sztuka, której wyuczyć się można. Jedni zatem wywiczeni na mistrzach, wirtuozach języka (np. Słowackim, Asnyku i t. d.) sypią perłami stylu, jeżdżą na wiatrach w przestrzeniach międzyplanetarnych, na zawołanie mają ory i blyskawice, piorunami sieją — dobierając rymów i zestawień słów wyjątkowo trudnych i niesłychanych — uciekają się do niezwykłych metafor, onomatopeji, personifikacji, słów pisanych dużą literą, męskich rymów, nowotworów językowych, (jak np. u dekadentów naśladujących Wyspiańskiego), różnych kombinacji znaków pisarskich, dla wywołania odpowiedniego nastroju — drudzy świadomie (a może nawet nieświadomie — o ile są w ostatniem stadium) pastwią się nad językiem ojczystym, prawidłami pisowni, gramatyki... nawet przyzwolności wyrażen — byle tylko *zwrócić na siebie uwagę*. Niezwykle wyskoki stylu i języka nie wystarczają, nie wystarczyła stokroć trywialniejsza od rzeczywistej trywialności trywialność — (to co oni nazywają swobodą i realizmem). Treść musi być także niezwykła, choćby nawet była z prawdą niezgodna, poezja ma dla nich stwarzać i przeinaczać fakty! Ponieważ Szelę dotychczas wszyscy potępiali — ja go pochwalę i zrobię z niego bohatera i męczennika, ponieważ *ja to pierwszy zrobiłem*, zwrócę uwagę *na swoją osobę* i będę sławny, choćby przez groźę tematu tak oryginalnie przezeńnie ujętego! Ponieważ nie używano dotąd w poezji takiego potopu wprost obrzydliwych wyrażen, ja ich użyję, aby się zdumiewano nad moją odwagą i niezależnością od wszystkiego, co dotąd było! Ta chęć zwrócenia na siebie za wszelką cenę uwagi, którą niegdyś pałał Herostrat, podpalacz świątyni Ateny lub Aleybiades, ucinający psu ogon — popycha ich do tych głupstw i dziwołworów. Niema tu miejsca na to, abym te słowa mógł poprzeć odpowiednimi cytatami z ich poezji. Odsyłam czytelników do poszczególnych ich utworów, a choćby tylko do owego świeżo wyszłego słowa o Jakóbie Szeli. Chciałbym tylko jeszcze raz przypatrzeć się obydwu wyżej wymienionym typom pseudo-poetów i wytłumaczyć jeszcze dosadniej, dlaczego odmawiam im talentu. Co do pierwszych, możnaby do nich zastosować wiersz Asnyka o sztucznych kwiatach, które do prawdziwych są podobne zupełnie, brakuje im tylko malej rzeczy, to jest „prawdziwości“. Tak samo poezja tych ludzi, to nie poezja prawdziwa, płynąca z serca człowieka i z przyrody samej, ale *wiersze tylko*, kunszlownie nieraz układane, w których jednak całkiem jasno widoczna jest obłuda, *papierowych uczuć i nastrojów*. Gdybyśmy takiego poetę zaprowadzili na szczyty gór, nad morze lub stępy, gdybyśmy mu pokazali burzę lub zachód słońca, dusza jego pozostałaby obojętną na piękno *przyrody rzeczywistej*, lub co najwyżej odczułaby je w tym stopniu,

co zwykły śmiertelnik, a w *wierszach swoich*, opierając się bezwiednie na reminiscencjach z przeczytanych utworów cudzych, będzie ci taki dobierał najpiękniejszych wyrazów i rymów, aby to właśnie opisać dla efektu, *czego* w rzeczywistości odczuć nie jest zdolny. Podobnie wszelkie uczucia, na które w rzeczywistości zażyć by się nie potrafił, będzie próbował oddać w poezji, jak ten, co z kartki odczytuje komuś, że go bardzo kocha, wygłasza mowę przez kogo innego wymyślaną, lub powieszowanie nieszczerze, lecz pięknie ułożone. Na tem polega owa obłudza poetycka. Żalować wypada, że nasi wielej poeci tak wyszlachetnili styl poetycki i do takiej doskonałości doprowadzili język, że dziś lada partacz bez talentu, wypowiedzony jednak na mistrzach może się pokusić o układanie pięknych wierszyków, bawiących samą muzyką słów, rymu i rytmu, czasem przyćmionych i zamglonych umyślnie, aby krytyczny czytelnik nie dostrzegł przez mgłę istotnej treści i nie zrozumiał odrazu, że w tej pozornej głębi *nie kryje się nic, nic zupełnie* — bo nic nowego nie urodziło się w głowie „poety“.

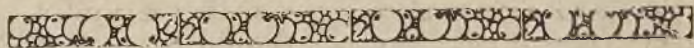
Ludzie, którzy czasem mają *mały talent*, o ile są skromni i trzeźwi i poznają, do czego są zdolni, tworzą rzeczy bezpretensjonalne a wdzięczne. Ale śmiech zbiera, gdy poeta daleko mniejszej miary, niż n. p. taki Pol lub Syrokomla — przemawia stylem Króla — Ducha i za przewodnika narodowi się stawia, a przybierając ton wieszczka apokaliptycznym mówi językiem — on wróbel poezji, co ówierkać tylko może — chce śpiewać, jak słowik i latać pod chmurami, jak orzeł! Sześciłiwsza pod tym względem była epoka Reja, kiedy to trudno było, przy ówczesnem niewyrobinieniu języka poetyckiego, bałamucić mało krytycznego czytelnika kwiatkami stylu w utworach, w których nie postąpiła żadna myśl piękna i nowa. Pierwszym warunkiem talentu poetyckiego (nie wierszowania tylko) jest to, aby poeta był panem rymów *tam właśnie*, gdzie napotykamy *wyjątkowo trudne zestawienia rymów*, wychodzi na jaw naginanie się myśli autora do rymu a nie rymu do myśli i *zamierzeń autora!* Odrazu możemy tu wyczuć ową sztuczność, nieszczerłość, wyrafinowane szukanie efektu — jednym słowem najzupełniejszy brak talentu. Musiałbym tu na dowód przytaczać znowu wiele cytatów, co jednak ze względu na brak miejsca odłożyć muszę do jakiejś obszerniejszej rozprawy. Gdybysmy zaś chcieli poznać genezę wszystkich nowoczesnych dziwactw w grze słów, w doborze niezwykłych ad hoc tworzonych wyrazów, zwrotów i obrazowań, dociekać kiedy po raz pierwszy „fioletowy dach duszy“, kiedy po „menażerji rozpaczy“ zaczęły kroczyć „hipopotamy żalu, oraz inne głupstwa poetyckie, od czego zaczęło się późniejsze zło, nie prędko byśmy skończyli. Gdyby poeci tej miary, co Słowacki i Wyspiański, u których można wyczuć pierwsze, niewinne jeszcze skłonności do pustej gry słów, wiedzieli, co narobią przez to, jakie to się z nich epigony wylegną (w ostatniem wydaniu futuryści) — unikaliby, jak ognia, wszystkich swoich dziwactw — bo to byli ludzie nieskończenie więksi od tych swoich naśladowców, co sprowadzili poezję ze szczytów i wyżyn w potworną przepaść dekadencji i futuryzmu. Jest jednak jeszcze drugi gatunek poetów, do których na podstawie słowa o Jakóbie Szeli zaliczyć wypada i p. Jasieńskiego. Przyjómna się tu mimowoli zamierzona, a na szczęście upadła na Sejmie ustawa kagańcowa na prasę w Polsce. Zanosilo się na to, że za artykuły pisane z najszczerzego przekonania i idealnych pobudek miłości ojczyzny i troski o jej dobro — o ile za prądem ogólnym, choć błędnym, nie szły, można się było

narazić na odpowiedzialność sądową — natomiast nie było i niema kary za utwory *treścią* obrażające religję, poczucie moralne, zwykłą przyzwoitość, obrażające dobre innę Polski i jej kulturę, *stylem* zaś sam przepiękny język, który także świętością narodową być powinien. Za znęcanie się nad językiem ojezycznym powinna być surowa kara sądowa! Dawnej wymierzonyby takiemu poecie (gdyby poczucie językowe było tak, jak dziś wyrobione), w dowód uznania ze sto kiłów, dziś powinien iść do więzienia.

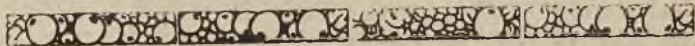
Do więzienia?

Może zbyt nietościwe i bezwzględne żądanie? Trzebaby go może przedtem oddać do zbadania, czy świadomie, czy nieświadomie pastwił się nad językiem i niedorzecznościami karmic chciał bliźnich — bo oprócz więzień są przecież szpitale! Czy nie wystarczy jako dowód i okoliczność łagodząca choćby owa pogarda, jaką mają ci nędzni wierszopisc dla wielkich pisarzy, jak np. Mickiewicza, Sienkiewicza i t. p. utrzymując, że tamci, „starzy nudziarze“ już się przeżyli, że oni ludzie nowoczesni utorują drogi poezji przyszłości i pokazą, jaką być powinna. Nazywa się to u nich nowym duchem i formą nową. Niema może nic bardziej oburzającego, jak to pogardzanie lepszymi i zdolniejszymi od siebie. Ale nie oburzajmy się! Wszakże to dowód już zupełnie wystarczający (nawet bez specjalnego badania), że zaliczyć ich trzeba do umysłowo chorych. Coż tedy szkodzi, kiedy szaleni wyobraża sobie, że jest królem Madagaskaru lub Atlensem podtrzymującym strop niebieski, aby ludziom nie upadł na głowę? Zostawcie chorych obłąkańców w spokoju, ale ich unieszkodliwcie, bo od czasu do czasu wpadają w szal i piszą swoje sztuczne lub wręcz obrzydliwe wiersze. Nie drukujcie ich i *nie dawajcie do rąk młodzieży*, bo jaką wykształcicie, taką mieć będziecie. A wam o niepowołani poeci, wam ludzie biedni i chorzy, jeśli wam jeszcze resztki przytomności zostały, radzę wścieć się raczej do tłuczenia kamieni przy bitych drogach, bo może ta praca fizyczna ostudzi wam rozpalone mózgi, usunie gorączkę, którą wy natchnieniem nazywacie. Niechaj wam tatrzańska siklawka spadnie na rozwichrzzone głowy i lodowatym tuszem wystudzi poetycką wodę. Chętniebym przemocą, jak dzieciom potrzył pod nią głowy skołatane i niezdrowego ognia pełne, aby was chłodziła cierpliwie, jednocześnie — długo! To bym wam uczynił dla waszego dobra i dla dobra polskiej poezji. I nie róbcie z waszych niedorzeczności jakiegoś poważnego nowego kierunku (który lubicie porównywać z humanizmem, romantyzmem i t. d.) — bo oszukany chwilowo lud wyśmiejże was potem razem ze mną. I wiedźcie o tem, że jeśli podobne głupstwa zdarzają się i u innych narodów, to przechodzi to okresami, bo ludzie i narody mają chwile dekadencji umysłowej i dlatego tylko zrodziło się bolesne zdanie, że „głupstwo ludzkie jest wieczne“. Pomnijcie wkońcu na słowa „przestarzałego“ mistrza Sienkiewicza: Do tworzenia dzieł sztuki nie wystarczy „łupież w rozczochranej głowie“, nie wystarczy dużo „we łbie mętu“, „trzeba jeszcze i talentu, choć odrobinę talentu!“

Zdz. Kr.



Czytelnikom i Przyjaciółom „Trybuny Narodu“ składa Redakcja najserdeczniejsze życzenia Wesołego Alleluja.



Mobilizacja a dusza.

Refleksje o militaryźmie i pacyfizmie.

II.

Tamto prawda. Ale nieprawda jakoby wojna była egzaminem z wartości narodu zawsze i wszędzie, bezwzględnie sprawiedliwym. Oczywiście, o ile *Bog* utożsamimy, jak to zdaje się czynić autor książki „l'Homme qui vient“, z *Życiem*, tj. prawo moralne z prawem natury, a *powołanie z wartością*, to ostatecznie zbraknie nam wszelkiego kryterjum do różnicowania między prawem a bezprawiem, między dzielnością a zbrojactwem, między ceną moralną zasługi a chytrą, między *sensum a przypadkiem*. Wypadek choćby dopiero co przytoczony, niespodziewanego wypadu przez zdruzgotaną Belgię ku nieuzbrojonej połaci granic Francji, ufającej w znaczenie obyczaju prawnego międzynarodowego, świadczy, że zarówno w życiu narodów i jednostek, nie koniecznie tylko lenistwo i sybarytyzm, lecz i lojalność przyzeitość, uczciwość, bywają zbyt często — „winą“, kulą u nogi. Można tu odpowiedzieć, że jest obowiązkiem zarówno jednostki jak i narodu, liczyć się z rzeczywistością, znać wszelkie możliwości niemoralne i gotować się na odparcie chwytu. Ale zarzut taki jest tylko pozornie słuszny, bo nie wystarczy stać samemu na poziomie obyczajowym swego czasu; ażeby być należycie czujnym, należałoby stać *poniżej danego poziomu* — a w ten sposób automatycznie rozłożylibyśmy wszelaką moralność w najkrótszym czasie — doszczętnie. Stąd pozostaje tylko droga ustalania obyczaju w zbiorowościach — jednostkowych czy grupowych — i stosowanie *kary*, represji, wobec jednostek czy narodów, dodatkowo stwarzających sobie lepsze warunki konkurencji, warunki nie mające nic wspólnego z cywilizacyjną wartością rzeczywistości. A ten postulat jest już postulatem sprawiedliwości odmiennej niż owa naturalna, sprawiedliwości „sztucznej“ człowieczej: *Vicix casa placet dūs, sed victa Catoni*. W interpretacji chrześcijańskiej „Catoni“ możemy tu utożsamić z „Deo“. Jakże mogą być rozmiary i sposoby wymiaru tej sprawiedliwości międzynarodowej, gdzie i jaka linja przecięcia tego postulatu z postulatem niedopuszczenia do powyżej wspomnianego uniwersalizmu absolutnego — to wielka i rozległa sprawa, którą tu jeno notujemy jako leżącą w polu zainteresowań myśli rozpiętej między *faktami* rzeczywistości naturalnej a *normami* moralności spirytualistycznej.

Ale po drugie i przypadek gra również rolę ogromną w powodzeniu wojennem I to przypadek w znaczeniu takim jak kształt terytorjum, jak jego uposażenie naturalne itp. Przypadkiem wreszcie, w znaczeniu wartościowania z punktu widzenia dzielności jest i „młodszość cywilizacyjna“ danej rasy, jej opóźnienie się z punktu widzenia bronności państwa. Może nieraz trzeba było dać jakiemuś narodowi parę dziesiątek lat, a przeobraziłby swój ustrój tak, że byłby uniknął najśrodszych klęsk. Czyż wreszcie utożsamiając powodzenie z wartością, utożsamienie to usprawiedliwiając względem na dobro rodzaju ludzkiego jako takiego, nie otwieramy na oścież wrót wszelkiej poniewierce ras, których jedyną winą było życie w warunkach przyrodzonych łatwych, nie zmuszających do nieustannego intensywnego wewnętrznego przerabiania się społecznego, psychicznego, kulturalnego — ale które w dziewiczych pokładach swej naiwnej duchowości, kryć mogą skądinąd jakieś cenne i rzekkie zadatki rozwojowe, korzystne dla całego rodzaju ludzkiego.

Słowem wojna wymierza narodom sprawiedliwość cywilizacyjną tylko *czasami* — nie *zawsze*.

Do tego i do wszystkiego co można przeciw niej wytoczyć, to znaczy, że jest olbrzymiem marnotrawstwem ludzi i rzeczy, że jest wypuszczeniem na rozpast wszystkich bestjalstw, którym z taką ciężką biedą dać usiłujemy radę w czasach normalnych i pokojowych, kradzieży, łupiestwa, gwałtu, morderstwa, niszczytelstwa, gnębicielstwa, lenistwa, oszukaństwa — do tego dodajmy też jeszcze i przede wszystkim zarzut, że jest ona *selekcją rasy in minus*. To jest Pani, za którą idą chłopcy malowani; ale kogo ona pokocha ten w zimnym grobie leży. Kochankowie wojny, których ona żąda to młodzież najzdrowsza ciałem i duszą, najofiarniejsza, najodważniejsza. Oszczędza starszych fizycznie, ale co gorsza bardziej amolubnych, ostrożnych, wygodnych. Parę krwawych wojen z rządu, wojen takich jak współczesne, masowe, a dobór naturalny wytworzy rasę dla której bohaterstwo będzie najszpetniejszym i najśmieszniejszym przejawem!...

Aspektów na militaryzm i pacyfizm może być wiele. Np. zdaje mi się, że człowiek o znużonych nerwach odrzuci ze wstrętem te wszystkie idee, którą grożą jakimikolwiek ruchami, potężnymi zakłóceniami w świecie — odsuwa więc i patriotyzm, skoro patriotyzm grozi konfliktami, pacyfizm jest z pewnością w znacznej mierze objawem *fizjologicznym*. Ale niech ten sam człowiek wypocznie, niech się jego nerwy odżywią należycie, a pacyfizm, zachowa może dla niego inne walory, racjonalne, ale straci napewno — samoobserwacja łatwo sprawdzić to może — charakter rozpaczliwej tęsknoty.

Ale z drugiej strony, można, jak mniemam, nie bez racji stwierdzić, że i *militaryzm za wszelką cenę*, nie jest oznaką zdrowia, tym razem zdrowia z punktu widzenia kulturo-twórczego. Jest on oznaką psychiki „romantycznej“ — (w najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu, jako nazywającego duchowość wyzywających się nie w *zadaniu*, ale w *przygodzie*) — żyjącej nie intensywnie, jeno ekstenzywnie, niedojrzałej mało skłonnej do pracy nad zadaniami pokojowemi, pracy obliczonej nie na doraźny efekt, ale na poprawę codziennego życia, może przyszłych dopiero pokoleń, zniecierpliwionej przymusem opanowywania swych namiętności w życiu normalnym stęsknionej do jaskrawych wrażeń, do łun, pożarów, do pohulanki na zgliszczach, do rozpierania się na pobojuwisku zagarniętych miast i krajów. Podczas gdy tamten, człowiek wyczerpany nerwowo jest pacyfistą z *temperamentu*, ten jest z *temperamentu* militarystą, militarystą tutaj nie w znaczeniu dodatkiem prawdziwego, dobrego żołnierza, ale w znaczeniu nagannem, człowieka, którego pokój mierzi, który wojnę, jeśli jest wodzem rozpocznie lekkomyślnie, bez powodów dostatecznie usprawiedliwiających.

Przyznać zresztą trzeba, że to jest zrozumiała, ludzka rzecz, pragnąć widzieć swe dzieło zrealizowane w zupełności, widzieć maszynę, którą się zbudowało, w ruchu. Czyliż armia nowoczesna nie jest wspaniałą, misterną, gigantyczną maszyną i czyż sam fakt trzymania takiej maszyny w rękach nie może kusić do puszczania jej w ruch? Dlatego zawodnem może się okazać przysłowie: *si vis placem para bellum*, albowiem wojna potencjalna ciąży siłą samych twórczych w duszy ludzkiej sprężyn, do swej aktualizacji. Żołnierz pragnie wojny, i dlatego też, w społeczeństwie nowożytnem — jak to już wskazywał w swych pięknych artykułach gen. St. Haller — rozporządzanie armją narodową, nie powinno znajdować się w wyłącznej mocy, grupy wojskowej zawodowej, niezależnej całkowicie od reszty czynników narodowej opinii i woli.

I tak rozmowę, w kwestji militarystyki i pacyfizmu, wojny i pokoju, możnaby snuć bardzo długo, mając podostatkiem argumentów za koniecznościami i korzyściami lub szkodliwością czy to wojny, czy pokoju, za walorami lub defektami psychiki czy to militarystycznej, czy to pacyfistycznej. Dlatego też decydującymi przy koniecznym praktycznie rozstrzygnięciu sprawy między militarystyką a pacyfizmem nie nadają się kryteria ani psychologiczne, ani jakies „wiecznościowe“, ujmujące rzecz z punktu widzenia ostatecznych przeznaczeń ludzkości. One słuszności swej, o ile ją mają, nie tracą, ale, ponieważ zbyt często, używając ich przy dyskusji, napotykamy na hipotezy narazie całkowicie niesprawdzone, musimy uważać je za atuty może pożądane, ale bądź co bądź niższej rangi, dodatkowo tylko, a zagadnienie nasze skierować na inny teren, bardziej konkretny. Czy mianowicie *teraz*, w obecnej sytuacji dziejowej 1^o Polski, 2^o Europy, pożądaną jest *wojna* czy *pokój*?

I tu dwóch odpowiedzi, jak się zdaje, dla Polaków i większości narodów europejskich być nie może. Gdyby się Polska obecnie uwikłała w jakąś wojnę, to mogłaby się ta zakończyć klęską niepowetowaną i wieczystą. I z pewnością między ludźmi realnie myślącymi w Polsce, niema jednego, któremu podobałoby się jakies perspektywy wojenne, jakies nowe, romantyczne „kogoś zbawiać, kogoś siekać...“ Gdyby zaś Europa, uwikłana została w nową wojnę światową, to mogłoby to naprawdę być, tyle razy w epoce współczesnej przepowiedanym *końcem cywilizacji* — a conajmniej katastrofalnym załamaniem jej na długie wieki. Już wojna minioną przetasowała wartości i warunki życiowe w sposób zastraszający.

Dlatego, jak sądzę, jeśli nawet autorytatywne osobistości obozu narodowego ze sceptyzmem wyrażają się np. o znaczeniu Ligi Narodów, to to bynajmniej nie oznacza, jakoby ona nie była dziś *potrzebna* — ale to tylko czy ona okaże się dla utrzymania pokoju *skuteczna*? Ze nie jest ona bez walorów w tym względzie, podnosi to tak wytrawny publicysta obozu wszechpolskiego jak p. St. Szcutowski, który użyteczność jej widzi w tem, że ona kanalizuje poniekąd dyplomację europejską, stwarza dla niej teren dyskusyjny i porozumiewawczy.

Należy, słowem, stwierdzić, że: 1) bezsprzecznie rozwija się obecnie przeświadczenie o wspólności interesów cywilizacyjnych europejskich, przyczem

a) najwybitniejszym z nich jest interes utrzymania pokoju na jakis całkiem nieokreślony przeciąg czasu,

b) przeświadczenie to objęło żywioly bardzo rozważne, nader dalekie od możliwości posądzeń o defetyzm, które sprawami utrzymania pokoju, kwestjami międzynarodowej współpracy i sprawiedliwości zajęły całkiem na serio;

2) powstała instytucja mająca służyć za organ utrzymania pokoju;

3) na wartość instytucji tej dla każdego z osobna narodu składa się bilans strat i zysków z przynależenia do niej, przyczem, jako pozycje na rachunku zysku figurują współczesnie wszelakie przyczynki do uniknięcia wojny.

* * *

Ale to wszystko nie uzasadnia wcale *popularyzacji pacyfizmu*, ani tem bardziej nie usprawiedliwia ordynarnych napaści na pojęcie *żołnierza*.

Im mocniej, my, narodowcy, przytakniemy okropnościom i szkodliwości wojny, tem mocniej bronieć bę-

dziemy wstępu do opinji ogółu narodowego ideom pacyfistycznym. antymilitarystycznym — tem bardziej zależeć nam będzie na tem, aby takie zrównania jak „żołnierz = kat, bohater = bandyta“ — stały się co najprędzej nieprzyzwoitością, — zgoł nie do wymówienia i usłyszenia!..

Tak. Bo im wojna jest groźniejszą, tem staranniejsza należy się żołnierzowi opieka narodu.

U nas — w tem społeczeństwie „rycerskiem“ społeczeństwie które przed paru pokoleniami pieściło się może nawet zbyt jednostronnie ideałem żołnierza, — w tem społeczeństwie żołnierz w czasie wojny ostatniej (myślę o wojnie polskiej po r. 1918) na ogół *nie miał nad sobą należytej o ieki duchowej i materialnej narodu, żył i umierał w poczuciu samotności*. Kto czytał tę piękną ksiązkę prawdziwego poety i prawdziwego żołnierza, Eug. Małaczewskiego, pt. „Koń na wzgórzu“ ten sobie przypomni jego skargę na *samotność żołnierza polskiego*. Może komuś ze snobów będzie się podobało w tej samotności żołnierskiej odnaleść pewien patetyczny walor... Ale zdolność do zniesienia samotności to walor od strony żołnierza — od strony społeczeństwa cywilnego samotność żołnierska to niechłujstwo i nieuczciwość. Oby się tak, jeśli los tak zdarzy, nie działo już w żadnej przyszłej wojnie Polaków!

Tak. Im wojna jest groźniejszą, tem bardziej stanowczą musi być dezynfekcja auszy ogółu od wpływów antymilitarystycznych.

Bo co znaczy w chwili wybuchu wojny, naród duchowo zantymilitaryzowany, spacyfikowany? Znaczy to: Mniej sprawne transporty kolejowe, kadry niepełne więcej ludzi po P. K. U. i żandarmerji niż na froncie, więcej markirantów i dezertarów; słowem *udata agitacja autymilitarystyczna*, czy tam *pacyfistyczna* to — w obliczu wojny — znaczy: *utrudniona opieszala mobilizacja*.

Mobilizacja, to nie jest sprawa tylko techniczno-administracyjna, to sprawa przedewszystkiem *psychiczna*: *Dusze muszą się zmobilizować aby się powiodła mobilizacja ciał i rzeczy*. I dlatego opieka duchowa narodu nad żołnierzem to kwestja 1) prostego poczucia *ludzkości*, wobec człowieka młodego, w pełni sił, oderwanego od wszystkiego co mu najbliższe i idącego naprzeciw śmierci, 2) to kwestja prostej wdzięczności wobec tego, co swem ciałem mój dom zasłania, 3) to kwestja *narodowego bytu*. Żołnierz musi, odchodząc, mieć przekonanie, że mu cywil jakis, za plecami jego nie sprzątnie żony czy narzeczonej, że jego mundur, który czuć potem, dymem, stęchlizną będzie mu ozdobą, której mu zazdrościć będą, że przed blaszanym krzyżykiem na piersi oczy ludzkie się pokłonią, jako przed czemś *co jest rzeczą najdroższą na serjo*. Żołnierz musi uczuć się wtopionym w najczulszy, najserdeczniejszy nurt życia duchowego swojej rasy — aby się grozie i znojom zadania swego mógł oddać bez ciężkich zawał wewnętrznych, z bohaterskim nakładem ambicji.

Oto biorę do ręki zmięty, mizerny zeszytek i znajduję tam skreślone ołówkiem na biwaku, słowa młodego chłopca, słowa które opłacone były drogo bo kulą w czoło i krzyżykiem na niebiesko-czarnej wstążce — po zgonie:

„Słask to... partyzantka, grożąca kulą lub szubienicą. Może dać jednak sławę, a sława to rzecz najważniejsza“.

Sława żołnierska — o beidna, dobra, nadziejo! Ale właśnie tę biedną, serdeczną fikcję, to marzenie niewinne jak pisklą, a energiczne jak dynamit — naród w swej całości, psychika ogółu *„mężczyzn i kobiet — jeszcze bardziej, kobiet! — obowiązany jest otulić*

obiema dłońmi i uroczystie podnieść w górę ku południowym, najjaśniejszym jarzącym blaskom słońca.

Zrozumiemy, że nie abstrakcja jakaś narzucona jest społeczeństwu dla której poświęcać jest się zmuszonym życie, ale, że *ten fakt, iż się pokolenia zahaczają o pokolenia* solidarnością w życiu i śmierci — nazywa się „narodem”. Jestem Polakiem dlatego, że mój Brat i mój Przyjaciel zginęli dla „Polski” i dlatego że postanawiam sobie mojemu synowi wbić w duszę ich tradycję. Naród narasta warstwami konkretnymi pokoleń, jak rafa koralowa. Jeśli naród ginie to znaczy, że *uprzednio* rozluźniła się solidarność pokoleń w sprawie najdostojniejszej, w zdolności do rzucenia życia. A jeśli to się stanie — *to naród ginie* i dzieci i wnukowie tych pokoleń rozluźnionych — idą na pognój.

Dlatego wszelkim insynuacjom o żołnierzu, drwinom zeń i kpinom, wszelkim ideom rozmięczającym, groźny kit pokoleń — *dług życiem za występ — powiadamy; Do opinii narodowego ogółu — wstęp wzbroniony!*

C. d. n.

K. L. Koniński.

PRZEGLĄD PISM.

Komentarze zbyteczne.

„Gazeta” z dnia 6 b. m. w artykule wstępnym, zatytułowanym „Silne wzmocnienie stanowiska rządu”, pisze:

„Za sześć mniej więcej tygodni zbliża się rocznica przewrotu majowego, wskutek którego rządu w państwie przeszły niepodzielnie do rąk marsz. Piłsudskiego. Mówimy „niepodzielnie”, bo prezydent Mościcki usunął się dobrowolnie od wpływu na tok najważniejszych spraw publicznych, pozostawiając właściwe decyzje ministrowi spraw wojskowych. Zaś sejm i senat nie odegrały, mimo pozostawienia ich przy życiu, żadnej wogóle roli, poza rolą parawanu. Jeśli próbowały pracować, okazywało się, że są do pracy pozytywnej niezdolne; jeżeli próbowały przeszkadzać — to rząd ustępował im w błahych rzeczach, a w najważniejszych nie zważał na ich opozycję i robił swoje. Posłowie i senatorowie pogodzili się z tą rolą; djety chowali do kieszeni, pokrzyżowali, zaprotestowali tu i ówdzie, ale na ogół szukali satysfakcji raczej w drobnych złośliwościach wobec rządu, jak w prawdziwej opozycji. Nic dziwnego z ich stanowiska, skoro rząd w takim wypadku gromił rozwiązaniem Izby!”

„Tymczasem dokonywał się niemal w całej opinii publicznej ogromny zwrot na korzyść rządu. W chwili, w której się zamach dokonywał, olbrzymia większość opinii oświadczyła się przeciw niemu. Krwawe wypadki na ulicach Warszawy, morderstwo uwięzienie kilku generałów, broniących legalnego rządu i trzymanie ich bez potrzeby w więzieniu, brak wielkoduszności w likwidacji zamachu, uczestnictwo w rozruchach żywiołów awanturniczych, wysunięcie na czele ludzi często nieodpowiednich, słowem wiele krzywd i błędów, popełnionych przez nowy rząd — wszystko to składało się na nieprzychylnie usposobienie przeważnej części opinii. Trzeba było całego roku, który w przyszłym miesiącu dobiega, aby opinia zorientowała się, że popod temi błędami i krzywdami dokonał się w Polsce zwrot, który państwu wychodzi raczej na użytek, bo powstrzymał je na drodze ku przepaści, ku której pędziła go zła ustawa konstytucyjna i uświęcone przez nią rządy klik partyjnych”....

„Autorytet taki się pojawił — w nielegalny i nawet krwawy sposób, dochodząc do władzy — a położenie Polski istotnie zaczęło się zwolna poprawiać. Teoria, że Polska potrzebuje silnej władzy zwierzchniej na czele, wytrzymała naogół próbę praktyczną”.

„W polityce wewnętrznej rząd obecny posiadał — jak dotąd — mniej inicjatywy, a okazał więcej wahań: nie umiał też dotąd ruszyć z miejsca całego szeregu spraw pilnych a drażliwych, które muszą być poruszone i rozwiązane. Do takich należy załatwienie sprawy samorządu, lepsza organizacja całej administracji, ulepszenie techniki i treści prawodawstwa (Rada stanu i trybunał konstytucyjny), zmiana ordynacji wyborczej, reformowanie t. zw. reform społecznych, uregulowanie kwestji mniejszości, naprawa konstytucji. Opozycja twierdzi, że rząd w tych wszystkich sprawach nie ma programu. Istotnie nie występuje dotąd z nim. Ale są wskazówki, że program taki sobie wyrabia, że w chwili stosownej z nim wystąpi. Jak na teraz stoją mu zresztą na przeszkodzie ograniczone pełnomocnictwa, jakimi się w lecie ubiegłego roku zadowolnił (popemniając niewątpliwie błąd taktyczny, gdyż powinien był wówczas zażądać dużo szerszych pełnomocnictw)”...

„Ale i o reformie konstytucji naszej, tak błędnej i tak szkodliwej, nie należy zapominać. Nie da się utrzymać konstytucja, oparta na sejmokracji. Mamy też dlatego dyktaturę ulajoną (krypto-dyktaturę). Daleko lepszym od tego byłby stan prawny, wyznaczający władzy naczelnej państwa właściwą rolę kierującą, ale gwarantującą również Izbie właściwy im zakres działania, przedewszystkiem kontrolę nad rządem wykonawczym. Dyktatura militarna, a każda dyktatura taka bywa, posiada bardzo doniosłe ujemne strony, o ileby miała być systemem trwałym. Choćby dlatego, że wcześniej, czy później wybuchają w państwie walki diadochów o następstwo we władzy i że brak rządowi ciągłości. Tylko silna władza naczelna, oparta na ustawie, ma zalety dyktatury bez jej wad”.

Wybory warszawskie w prasie.

„Gazeta Warszawska Poranna” z dnia 12 b. m. pisze:

Najcięższy jednak obowiązek spada na polską ludność Warszawy. Od jej stopnia świadomości narodowej i obywatelskiej, od jej rozumu i przezorności zależy w najwyższym stopniu, czy próba sił, jaką będą wybory w maju, okaże się zgonną lub zbawienną dla stolicy. Jeżeli polski rdzeń Warszawy nie przeciwstawi się ostro zapędowi do tego, aby gopodarzami miasta stały się żywioły wywrotowe, radykalne, komunistyczne, żydowskie, którym pomagają obecny rozgardzajasz ideowy wśród obozu sanacji i jego metody walki, to wówczas stolica stanie się ogniskiem zarazy dla całego kraju. Jeżeli natomiast ludność polska Warszawy postawi przyszłym radnym twarde żądanie, aby zobowiązali się utrzymać katolickie i narodowe oblicze stolicy, nie dopuszczając do wzmaganania się żywiołów żywiołu żydowskiego, stworzyć wspólny front antykomunistyczny, i zgodnie z tem wybierze takich ludzi do rady miejskiej, którzy będą fachowcami w różnych działach gospodarki miejskiej, będą jednocześnie posiadali niezłomny patriotyzm i przekonania katolickie, to wówczas uratują od upadku i zgnilizny coś więcej, niż Warszawę”.

„Epoka” z dnia 13 b. m. stara się osłabić argumenty o rozpisaniu wyborów w niestosownej ku temu porze: □

„Pozostaje jedna serja argumentów, które można nazwać krótko — straszakiem komunistycznym. Są to argumenty, nie wytrzymujące żadnej krytyki. — Wszystkie odbyte w ostatnich czasach wybory (całkowite lub uzupełniające) daly dowód, że wprowadzie do instytucji miejskich przechodzą komuniści, ale w takiej liczbie, że pozostaje im tylko rola opozycji. Konieczność istnienia stałej opozycji w instytucjach wyborczych jest zupełnie zrozumiała. Żaden światły państwowiec nie będzie jej przeciwstawiał się. Dopiero w roli opozycji, a nie w charakterze podziemnej grupy demagogicznej komuniści wykazują, czem są właściwie i tracą sympatje swoich własnych wyborców. W sprawach codziennych gospodarki miast nie-

ma miejsca na maksymalizm. Grupki komunistyczne w radach miejskich, świeżo obranych, nie stanowią żadnego niebezpieczeństwa. W Kaliszu mamy jednego komunistę, w Pińsku o ile doliczyć nawet dwóch lewicowych poalej-sjonistów, będzie miała ta grupa trzy głosy, również wybory w Mszczonowie i szereg wyborów do kas chorych dowiodły, że żadnej przewagi czynników komunistycznych w miastach nie mamy. Widzimy natomiast w tych wszystkich wyborach znaczne osłabienie stronnictw prawicowych, które nie mają nawet odwagi pod swemi partyjnemi sztandarami stawać przed sądem wyborców“.

Dziwne są te uspokojenia.

Ehr.

WSKAZANIA PROGRAMOWE OBOZU WIELKIEJ POLSKI

JUŻ WYSZŁY Z DRUKU NASTĘPUJĄCE ZESZYTY
WSKAZAŃ PROGRAMOWYCH OBOZU WIELKIEJ POLSKI

POD TYTUŁEM:

1. *ROMAN DMOŃSKI* — ZAGADNIENIE RZĄDU.
2. *ROMAN RYBARSKI* — POLITYKA A GOSPODARSTWO.
3. *JERZY ZDZIECHOWSKI* — POLITYKA FINANSOWA.
4. *BOHDAN WASIUTYŃSKI* — PRAWORZĄDNOŚĆ.

CENA ZESZYTU 2 Zł.—

Następne zeszyty ukazywać się będą w odstępach tygodniowych w porządku następującym

5. *STANISŁAW HALLER* — ARMJA, PAŃSTWO I NARÓD.
6. *ZYGMUNT BEREZOWSKI* — POLITYKA ZAGRANICZNA.
7. *ROMAN DMOŃSKI* — KOŚCIÓŁ I NARÓD.
8. ZAGADNIENIE PRACY
9. POLITYKA AGRARNA.
10. *ROMAN DMOŃSKI* — USTRÓJ PAŃSTWOWY.

Serja I-sza, złożona z 10-ciu zeszytów w przedpłacie z góry 15 zł. (z przesyłką pocztową).

Zamówienia przyjmuje Biuro Centr. Obozu Wielkiej Polski Warszawa, Złota 5, m. 1 i Adm. „Trybuny Narodu“

Prenumerata: miesięcznie 1.40 zł., kwartalnie 4 zł., rocznie 16 zł. — Cena egzemplarza 40 gr.

Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., $\frac{1}{2}$ strony 100 zł., $\frac{1}{4}$ strony 60 zł., $\frac{1}{8}$ strony 30 zł.

Redakcja i Administracja: Kraków, Rynek Główny 6. Szara Kamienica I. piętro oficyny.

Telefon Nr. 2076, godziny urzędowe od 10—1 przedpoł. i 4—6 popoł. — Konto P. K. O. 406.080 Kraków

Redaktor odpowiedzialny: **Felicjan Gadomski.**

Wydawca: **Tadeusz Busz czyński**

Drukarnia Gronusia i Orłowskiego w Krakowie, ul. Stolarska 1. 6.